



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA NARODOWA

Nr. 63

Serja I

JÓZEF KORZENIOWSKI

KARPACCY GÓRALE

OPRACOWAŁ

WIKTOR HAHN

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNI.

<http://rcin.org.pl>

NAKŁADEM KRAK. SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

(KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25)

wychodzi wydawnictwo periodyczne

BIBLIOTEKA NARODOWA

Wydawnictwo *Biblioteki Narodowej* pragnie zaspokoić pilną potrzebę kulturalną i przynieść zarówno dla każdego inteligentnego Polaka jak dla kształcącej się młodzieży

◊ ◊ WZOROWE WYDANIA NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ

w opracowaniu podającym wyniki najnowszej o nich wiedzy.

Każdy tomik *Biblioteki Narodowej* stanowi dla siebie całość i zawiera bądźto jedno z arcydzieł literatury, bądź też wybór twórczości poszczególnych pisarzy.

Każdy tomik poprzedzony jest rozprawą wstępną, omawiającą na szerokim tle porównawczem, w sposób naukowy ale jasny i przystępny, utwór danego pisarza. Śladem najlepszych wydawnictw angielskich i francuskich wprowadziła *Biblioteka Narodowa* gruntowne objaśnienia tekstu, stanowiące ciągły komentarz, dzięki któremu każdy czytelnik może należycie zrozumieć tekst utworu.

Biblioteka Narodowa zamierza w wydawnictwach swych, na daleką metę obliczonych, przynieść ogółowi miłośników literatury i myśli ojczystej wszystkie celniejsze utwory poezji i prozy polskiej od wieku XVI aż po dobę współczesną, uwzględniając nie tylko poetów i beletrystów ale także mówców, historyków i filozofów. Utwory, pisane w języku łacińskim, ogłaszane będą w poprawnych przekładach polskich.

Z literatury światowej zamierza *Biblioteka Narodowa* wydać wszystkie te arcydzieła, których znajomość niezbędną jest dla zrozumienia dziejów piękna i myśli ogólnoludzkiej.

Do współpracownictwa zaprosiła redakcja *Biblioteki Narodowej* najwybitniejszych badaczy naszej i obcej twórczości literackiej i kulturalnej, powierzając wydanie poszczególnych utworów najlepszym każdego znawcom.

Kładąc nacisk na staranność opracowań wstępnych i objaśnień utworów, *Biblioteka Narodowa* równocześnie poczytuje sobie za obowiązek podawać najdoskonalsze teksty samych utworów, opierając się na autografach, pierwodrukach i wydaniach krytycznych.

<http://rcin.org.pl>

JÓZEF KORZENIOWSKI

KARPACCY GÓRALE

DRAMAT W TRZECH AKTACH

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI ZAOPATRYŁ

Dr WIKTOR HAHN

PROFESOR UNIWERSYTETU W LUBLINIE

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. ... 72

Tel. ... w. 42

KRAKÓW

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

<http://rcin.org.pl>



Odbito w drukarni „Czasu” w Krakowie
1923

<http://rcin.org.pl>

1543

WSTĘP

Lud w literaturze dramatycznej polskiej przed Korzeniowskim. Pominąwszy kilka sporadycznych prób wprowadzenia ludu wiejskiego do polskich utworów dramatycznych, powstałych przed okresem Stanisławowskim, niemających jednak większego znaczenia, — o właściwym zużytkowaniu motywu tak ważnego w literaturze naszej możemy mówić dopiero od drugiej połowy XVIII w., t. j. od czasów odrodzenia literatury dramatycznej. Ks. Bohomolec, Książnin, Wybicki, Bogusławski zapoczątkują nowy zwrot w ujęciu stosunków chłopskich. Zwłaszcza Wojciech Bogusławski w komedji *Cud czyli Krakowiacy i górale* (1794) stwarza pierwszą sztukę ludową polską. Typy wprowadzone przez niego nie są to już owe postaci sielankowe, konwencjonalne poprzednich okresów, lecz istotnie prawdziwe, z cechami wybitnie narodowymi. Dalszym ciągiem *Cudu* jest *Zabobon czyli Krakowiacy i górale* Jana Nepomucena Kamińskiego (1816), który występując w obronie praw ludu wiejskiego, domaga się zniesienia pańszczyzny; ujemną stroną sztuki Kamińskiego jest przedstawienie krakowiaków i górali tylko ze strony idealnej, — zaletą opracowanie tematu narodowego i szlachetna tendencja społeczna.

Następuje długa przerwa w rozwoju dramatu ludowego u nas: dopiero *Karpaccy górale* Józefa Korzeniowskiego (1840) są nowym, poważnym krokiem w tej

dziedzinie. Charakterystyczne przytem, że Korzeniowski wprowadził do dramatu lud ruski, przemieszkujący na ziemiach Rzeczypospolitej, żyjący wówczas ze społeczeństwem polskim w zgodzie. Dziwnem zrządzeniem losu nie miał sposobności poznać ludu polskiego; pokrewny i zbliżony doń pod niejednym względem lud ruski przedstawił z wielką obiektywnością — co więcej, nawet z prawdziwą miłością. Podobny w tem do J. I. Kraszewskiego, który niemal równocześnie w swoich powieściach ludowych przedstawia nam także lud ruski z niezwykłą dla bohaterów swych sympatją.

Geneza „Karpackich górali“. Sam Korzeniowski zaznajamia nas z genezą *Karpackich górali*; w artykule bowiem o *Huculach*, napisanym w języku rosyjskim, a mającym poprzedzić własny jego przekład dramatu na język rosyjski, zaznacza, że treścią *Karpackich górali* jest rzeczywisty wypadek, który zdarzył się na kilka lat przed pobytem poety w okolicach Czarnohory. W r. 1840 (podczas drugiego pobytu Korzeniowskiego w tych stronach) żyła jeszcze we wsi Żabie wdowa po strzelcu, którego zabił młody górął, okrutnie skrzywdzony jego nieludzkim i bezprawnym postępkiem; po dwóch latach zbiegł on z pułku, ażeby się zemścić za swoją krzywdę. O jego historii z dumą opowiadali poecie górąle, dodając: „Szczęśliwy on, jego powiesili jakby jakiego pana“. Główne więc stadja akcji: nieludzki i bezprawny postępek strzelca, przymusową służbę młodego górąła w wojsku, dezercję z wojska i zemstę za doznaną krzywdę, przejął Korzeniowski z opowiadania górąli. Wspomina też o ludowej pieśni góralskiej, opiewającej czyny nieszczęśliwego dezercera; niestety, pieśń ta nie przechowała się w żad-

nym ze zbiorów pieśni ruskich; z czterowiersza przytoczonego z niej przez poetę jako motto dramatu, przeszły do dramatu nazwiska Tyczończuka i Rewizorczuka.

Dzięki dwukrotnemu pobytowi w okolicach Czarnohory w r. 1830 i 1840, zapoznał się poeta z terenem, na którym odgrywa się akcja, z charakterem i zwyczajami Hucułów. Największe wrażenie wywarło na Korzeniowskiego poetyczne życie górali, którego, jak sam mówi, zazdrościł im; podziwiał też ich rozsądek, przytomność umysłu, siłę, śmiałość, zwinność, wesołość; nie zamykał jednak oczu i na ich ujemne cechy: gorącość, wypływającą ze ślepych namiętności, porywczosć. Niezawisłość górali, głębokie odczucie doznanej niesprawiedliwości, przedewszystkiem zaś posunięte do szaleństwa umiłowanie gór, wśród których przemieszkiwali, ukochanie wolności — wydały się poecie, przybywającemu z krainy „białego cara“, rysami tak znamienymi, tak ciekawymi, że pozostając pod głębokim wpływem doznanych wrażeń, przyobłókł je w szatę poetyczną. Rzeczywistość więc sama dostarczyła twórcy obfitego materiału, — jak zaś silne były podniety, których wówczas doznał, widoczna z tego, że wnet po powrocie z drugiej swej wycieczki po Karpatach zaczął pracę nad dramatem, w jesieni 1840 r., w Charkowie. Znalazłszy się znów wśród przygniatających go stosunków rosyjskich, na co nieraz narzeka w listach, tem bardziej prawem przeciwieństwa zrozumiał, co znaczy „wolność“. I na cześć tej wolności wyśpiewał tę pieśń o nieszczęśliwym góralu, będącą jakgdyby częściowem odzwierciedleniem doli własnej, jedyny w całej swej twórczości literackiej utwór, w którym znalazła tak piękny wyraz tęsknota swobody. W uczucia Antosia

włożył też swoje własne: i on, jak Antoś w wojsku, jakże czuł się osamotnionym w szerokiej ziemi rosyjskiej, sam jeden wśród tylu tysięcy!

Praca nad nowym dramatem postępowała szybko: w liście z 1 listopada 1840 r. pisze już o nim, jako o wykończonym, do Antoniego Benzy, znanego aktora sceny lwowskiej:

Dawno, bardzo dawno nie mieliście nic odemnie. Moje przeniesienie, inny rodzaj życia, inne zajęcia, przerwały wszystkie dawniejsze marzenia i osnowy. Długiego potrzeba było czasu, nim pozwiązywałem porwane nitki. Teraz posyłam znowu Galieji, ojczyźnie mojej, upominek z dalekich stron, który jej wielorako należał. Jeżeliś jeszcze nie otrzymał, to otrzymasz wkrótce dramat w 3 aktach pod tytułem: *Karpaccy górale* albo *Rekrut*.¹

Było to „ulubione dziecko“ poety, jak je sam nazywał.²

Zbójcy jako motyw dramatyczny i powieściowy. Literatura romantyczna, występując w obronie jednostki, starała się dopatrzeć i w duszach zbrodniarzy pierwiastków szlachetnych, wyszukać w nich tych przyczyn, które ich pchnęły na drogę występku. Z tego punktu widzenia zrodziła się osobna literatura, poświęcona „zbojcom“: zwłaszcza w Niemczech tak zwane *Räuberdramen* i *Räu-*

¹ W dalszym ciągu listu dodaje jeszcze: „Mam nadzieję, że przy pomocy waszej, przy grze żywej, prostej jak natura, jakiegokolwiek zrobi wrażenie. Posłałem go na ręce p. Millo do Krzemieńca i prosiłem, aby go dostawił tobie p. Antoni. P. Millo jest w stosunkach z Hauznerem, a może i z którym księgarzem lwowskim, bo tam ma książki do sprzedania. Gdyby więc z przesłaniem rękopismu opóźniał, to bądź łaskaw sam przez którego z tych panów z nim się skomunikuj“. — Rękopis dramatu nie dochował się do naszych czasów.

² W liście do Benzy z 20 października 1841.

berromane cieszyły się z końcem w. XVIII i początkiem w. XIX wielką wziętością. Obok rzeczy bezwartościowych, sensacyjnych, dziś już przebrzmiałych zupełnie (takich autorów, jak Cramer, Spiess, Vulpius, Zschokke), wytworem tego kierunku są *Räuber* Schillera ze szlachečnym typem Karola Moora. *Karpaccy górale* Korzeniowskiego należą też do tej kategorii utworów literackich, zbliżeni i ujęciem motywu głównego i przeprowadzeniem do *Zbójców* Schillera. Jak Karol Moor w tragedji niemieckiej, tak i Antoś Rewizorczyk wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności zostaje zbójcą. Olbrzymia naturalnie między oboma różnica, wynikająca z ich stanowiska socjalnego, z ich zamiarów itd.

Wpływy literackie. Dramat Korzeniowskiego, oparty na rzeczywistości, jest utworem zupełnie niemal oryginalnym: przeprowadzenie akcji, motywy, są inwencją twórcy. Stąd też wpływów literackich niewiele można się w nim dopatrzeć. Oprócz wspomnianego już podobieństwa ze *Zbójcami* Schillera zaznaczyć wypada jeszcze, że scena opryszków (a. III, sc. 2) przypomina pod niejednym względem podobne sceny zbiorowe w tejże tragedji niemieckiej; zwłaszcza zachowanie się pojmanego mandatarjusza przywodzi na myśl humorystyczną scenę z księdzem (a. II, sc. 3). Motyw śmierci Praksedy z ręki Maksyma jest analogiczny z motywem śmierci Amelji, ginącej z ręki kochającego ją Karola; i Maksymem i Karolem kieruje ta sama myśl zaoszczędzenia nieszczęśliwym kobietom szyderstwa i pośmiewiska wśród ludzi, objętych na ich niedolę. Praksesta w scenach obłąkania przywoływa mimowoli na pamięć Ofelję w *Hamlecie* Szekspira. Korzeniowski sam wspomina o tem podobieństwie

w liście do Antoniego Benzy z 20 października 1841 r.: chciał scenę tę zmienić, ale ostatecznie zamiaru zaniechał. H. Galle przypuszcza wreszcie wpływ Szekspira w scenie kłątwy Marty: w słowach jej widzi pewne podobieństwo do przekleństw, jakie w *Ryszardzie III* miotają na głowę zbrodniczego Glouceстера pozbawione mężów i dzieci królowe.

Budowa dramatu. Składają się *Karpaccy górale* z trzech aktów; każdy z nich podzielony na sceny (akt I ma 2 sceny, II — 5, III — 4), przyczem sceny przynoszą także zmianę dekoracyj, tak, że dramat ma jedenaście odsłon, rozgrywających się w różnych miejscowościach. Odsłony 1, 2, 5, 7, 8, 10 i 11 dzieją się we wsi Żabie i w najbliższej okolicy (1. przed karczmą, 2. i 11. izba w chacie Antosia, 5. przy krynicy, 7. w chacie Prokopa, 8. przed chatą Antosia, 10. nad Czeremoszem, zdała od wsi), 3. i 4. pod Lwowem (3. w karczmie, 4. na miejscu pustem przed magazynem wojskowym), 6. w lesie w górach, 9. w miejscu dzikiem wśród skał i lasów. Następstwem tej zbyt wielkiej, jak na utwór trzyaktowy, ilości odsłon, jest zanadto luźna budowa dramatu, niezawodnie wada w jego kompozycji. Wytłumaczeniem może być gorączkowy wprost pośpiech, z jakim pisał Korzeniowski swój dramat; odnosi się mimowoli wrażenie, jakgdyby chciał czempredziej wypowiedzieć swe myśli, które przepelniały jego duszę. Sam utwór jednak na tem rozdrabnianiu akcji traci, gdyż widz zanadto rozprasza swą uwagę, widząc szybko zmieniające się sceny. Luźność obrazów przypomina twórczość dramatyczną romantyków.

Pozatem budowa dramatu jest prawidłowa. Scena pierwsza aktu pierwszego stanowi dobrze ujętą ekspozycję.

zycję (wdrożenie akcji); zawiązek akcji stanowi scena druga aktu pierwszego: zdradzieckie pojmanie Antosia i równoczesne postanowienie Praksedy, by go wyratować. Do kulminacyjnego punktu dochodzi akcja w scenie piątej aktu drugiego, w której Antoś zabija Prokopa, osiąga więc swój cel, do którego dążył. Następuje perypetja akcji: Antoś po dokonaniu zabójstwa musi chronić się w lasy i zostaje opryskiem; akt ostatni obejmuje katastrofę bohatera i najbliższych mu osób.

Odznacza się dramat ożywionym ruchem scenicznym, żeby choć wspomnieć tu o pełnej życia scenie przed karczmą (odsłona 1 aktu I), o scenie opryszków (odsłona 2 aktu III). Efektownie też kończy Korzeniowski akty: akt pierwszy błogosławieństwem Marty, danem Praksedzie, wybierającej się na ratunek Antosia; — akt drugi rozpaczą Marty i Praksedy, gdy się dowiadują, że Antoś zostaje opryskiem; — akt trzeci rezygnacją, z jaką Antoś idzie na śmierć.

Pieśni w „Karpackich góralach“. Urozmaiceniem akcji w dramacie są trzy pieśni: dwie w akcie pierwszym, jedna w akcie trzecim. Z pierwszej pieśni mamy tylko jedną czterowierszową zwrotkę, niezawodnie końcową: dwa ostatnie jej wiersze śpiewa chór na początku sceny pierwszej aktu pierwszego przy akompaniamencie fletu, całą zaś zwrotkę przy końcu pierwszej części wspomnianej sceny. Korzeniowski zaznacza wprawdzie, że jest to znana kołomyjka, mimo jednak specjalnych poszukiwań Br. Czarnika nie udało się dotąd odnaleźć podobnej pieśni w zbiorach ludowych pieśni ruskich; wobec tego prawdopodobne jest przypuszczenie, że zwrotkę tę ułożył sam poeta, z uwzględnieniem w niej

motywów, występujących w pieśniach ludowych ruskich. Odmalował w niej wiernie niedolę górali-rekrutów, których rząd austriacki po dokonaniu branki odsyłał związanych łańcuchami do większych miast, chcąc w ten sposób zapobiec ich ucieczce w góry. Uwiezieni zdala od stron rodzinnych nie mają już nigdy do nich powrócić, nie usłyszą już nigdy dzwonów kołomyjskich. Motywy o łapaniu i wiązaniu rekrutów podczas branki, o dzwonach, które im już nigdy nie zadzwonią, znają pieśni ludowe ruskie; tem samem urywek tej pieśni, jakkolwiek literackiej, pozostaje w dość ścisłym związku z twórczością ludową. Słowa zwrotki są jakby zapowiedzią akcji dramatu, wywołują od początku odpowiedni nastrój i przygotowują widza na dalszy przebieg wypadków. Zwrotka składa się z czterech wierszy: dwóch ośmioletkowych (pierwszy i trzeci) i dwóch sześcioletkowych (drugi i czwarty); rymują z sobą wiersz pierwszy i trzeci, drugi i czwarty (rymy żeńskie). Pierwszy i trzeci wiersz składają się z 4 trochejów, drugi z 2 amfibrachów, czwarty z 3 trochejów. O popularności tej zwrotki świadczyć może ten szczegół, że w przekładzie Ksenofonta Klimkowicza, tłumacza *Karpackich górali* na język ruski, stała się własnością ludu ruskiego. W przekładzie brzmi ta zwrotka jak następuje:

Hej daleko ich pohniat
 Zi stryczkom na szyji,
 Wże im bilsze ne zadzwoniat
 Dzwony Kołomyji¹.

¹ W odmianie przytoczonej przez Dr Czarnika brzmi pierwszy wiersz: Hej powedut hirniaka; w drugim: Ze zamiast Zi; w trzecim: Już zamiast: Wże im.

Druga pieśń (*Czerwony pas, za pasem broń*) i trzecia (*Hej! bracia opryszki! dolejdzie do czarki*) są oryginalnymi utworami poety, niemającymi żadnego związku z pieśniami ludowymi ruskimi.

Wczytawszy się w pieśni te, wyczuwamy z łatwością, że niema w nich charakterystycznych cech prawdziwych pieśni ludowych; napróżno szukalibyśmy w nich tak ważnej w pieśni ludowej prostoty, naiwności, jako też motywów ludowych, między innymi obrazowania uczuć duszy ludzkiej życiem przyrody. Czuć w nich robotę artystyczną, nieopierającą się na twórczości ludowej. Język także jest czysto literacki, nieuwzględniający typowych właściwości pieśni ludowych.

Pieśń pierwsza, złożona z sześciu zwrotek czterowierszowych, ma za cel przedstawić w zwięzłej formie życie i duszę górala. Po opisanie stroju i charakterystycznych cech górali, opiewa poeta ich zajęcia od chwili stajania śniegów do ponownego nastania zimy. Zasadniczym motywem pieśni jest uwydatnienie wesołej, swobodnej myśli górali, umiłowania przez nich wolności. Dzięki odpowiednio użytym amfibrachom i trochejom, odznacza się pieśń wielką melodyjnością; rozposzechniła się też i należy do najbardziej znanych i najczęściej śpiewanych, — najlepiej też istotnie oddaje charakter górali obok pięknej pieśni Michała Bałuckiego: *Góralu, czy ci nie żal?...*

Druga pieśń: *Hej! bracia opryszki! dolejdzie do czarki!* odzwierciedla życie opryszków, pragnących też tylko swobody, wolności, niedbających o wygody, bo zadowolają się bądź czem, szczęśliwi i weseli nawet wśród słoty i gromów, gdy tylko są bezpieczni przed Niem-

cami wśród gór i borów. Dużo w pieśni tej żywiołowej siły, podobnie jak w pieśni zbójców w dramacie Schillera (IV, 5), z którą ma ona pewne wspólne motywy. Składa się pieśń z siedmiu zwrotek czterowerszowych, w mierze amfibrachicznej; pierwszy i trzeci wiersz liczą po 12, drugi i czwarty po 8 zgłosek. Rymują wiersze pierwszy i trzeci (rym żeński), drugi i czwarty (rym męski przyczem zamiast amfibrachu ostatniego występuje jamb).

Dodatkowo wspomnieć jeszcze wypada o zwrotce czterowerszowej, umieszczonej jako motto na czele dramatu. Jest to wyjątek z pieśni ruskiej w formie kołomyjki, pieśni bliżej nieznannej, nie przechowała się bowiem w zbiorach pieśni ludowych ruskich. Wogóle nieznaną jest jakakolwiek pieśń lub opowiadanie w literaturze ruskiej, mające treść podobną do fabuły *Karpackich górali*. Zwrotka ta jednak jest według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodzenia ludowego, jak tego może dowodzić zestawienie paralelne obrazu życia przyrody z analogicznym zdarzeniem wśród ludzi, tak charakterystyczny posępny nastrój, właściwy pieśniom ruskim, wspomniane w niej nazwiska czysto ruskie, a wkońcu znamieną dla pieśni ruskich melodyjność słów.

Charakterystyka osób. W przedstawieniu osób dramatu oparł się Korzeniowski na dokładnej znajomości charakteru górali, jakiej nabył podczas dwukrotnego pobytu swego w okolicach Czarnohory. Sam zaznacza przede wszystkim jako znamieną cechę górali ich poetyczne życie, niezawisłość, wynikającą z ograniczenia ich potrzeb. Typowym reprezentantem górala-hucuła jest Antoś Rewizorczyk, wyposażony przez poetę w liczne zalety fizyczne i moralne, jednoczący wszystkie zauwa-

żone przez poetę cechy, skreślony ze znacznym pierwiastkiem realistycznym; uzupełnieniem jego postaci jest Maksym, uosabiający przedewszystkiem rezygnację hucła. Wprowadzając obok Antosia, jako czarny charakter, strzelca Prokopa, człowieka przewrotnego, niegardzącego żadnemi środkami, byleby tylko mógł dojść do celu, i nikczemnego Mandatarjusza, — prawem kontrastu uwydatnia tem dobitniej przymioty Antosia. Mniej odpowiednie jest to, że Antoś wyraża się po literacku, często nawet w sposób zupełnie nielicujący z jego socjalnem stanowiskiem. Do wypuklenia zalet Antosia służą także postaci Marty, Praksedy, Maksyma, osób oddanych mu całym sercem, w nim tylko widzących cel życia swego, zdolnych do największych poświęceń dla niego; słusznie też mówi o nim Komisarz: „O! nie musiał być złym człowiekiem ten, którego tak kochano“.

Obok Antosia w cień ustępują wszystkie inne osoby dramatu: zarówno mężczyźni jak kobiety. W postaciach kobiecych uwydatnił Korzeniowski przedewszystkiem miłość, w różnych jej przejawach: W postaci Marty przedstawił *miłość matki*, potężnej w chwilach rozpaczony po porwaniu syna, niekrępującej się żadnemi względami w przejmującej zgrozą scenie przekleństwa, niemogącej przeżyć wieści o pojmaniu syna. Nie mniej wielka jest *miłość kochanki*, Praksedy, nie widzącej również niczego poza ukochanym, gotowej do największych ofiar, byle go ocalić; aby Antosia powrócić matce, wybiera się w daleką drogę, i istotnie go jej wraca; podobnie poświęceniem z jej strony jest czuła opieka nad matką Antosia, przy której zostaje, aby się nią opiekować, chociaż pragnęłaby gorąco iść z nim razem w góry. Na wiadomość o niechybnej śmierci

Antosia popada w obłąkanie. *Miłość żony* przedstawił wkońcu Korzeniowski w postaci Anny, kobiety nieszczęśliwej, gdyż jest żoną człowieka złego, zniechęconego przez górali za jego nieczne sprawki; dla niej jest jednak dobrym mężem, — kocha go więc, drżąc ciągle o jego życie.

Galerji osób dopełniają postaci epizodyczne, ożywiające bieg akcji (Herszko, feldfebel, oficer, komisarz).

Język. Osoby występujące w dramacie mówią w przeważnej części językiem literackim. Rażą nas zwroty wyszukane, nienaturalne, zupełnie nie harmonizujące ze sferą, z której wyszli Antoś, Marta, Prakseda. Ciekawe jednak, że postaci epizodyczne przemawiają całkiem prosto, używając słów odpowiadających ich pochodzeniu. Taką zupełnie naturalną jest mowa Herszka, z umiarkowanym uwzględnieniem wymowy żydowskiej, i feldwebla; podobnież sposób wyrażania się mandatarjusza obfituje w cechy językowe, ilustrujące doskonale przekonanie jego o swej ważności jako figury urzędowej. Jakże charakterystyczne dla takich niskich urzędników używanie pewnych zwrotów, mających rzekomo świadczyć o ich stanowisku urzędowym (*alboniem, — to jest, — a co*), lub wyuczonych kilku słów łacińskich.

Sądy o „Karpackich góralach“. Pierwsze sądy o *Karpackich góralach* notuje artysta sceny lwowskiej Benza w liście z r. 1841 (por. niżej w ustępie: „*Karpaccy górale* na scenie“), donosząc w nim o zachwytach wielbieli jego talentu, m. i. Aleksandra Fredry, po przeczytaniu dramatu; — podobały się przedewszystkiem charaktery proste, tak z natury wzięte, a przytem pełne wzniosłych uczuć.

Karol Szajnocha w recenzji z lwowskiego przedstawienia dramatu, pomieszczonej w *Gazecie lwowskiej* z r. 1844, uważa *Żydów* i *Karpackich górali* nie tylko za najpiękniejsze utwory poety, ale w ogólności, obok *Krakowiaków* i *górali* Bogusławskiego, za najsamodzielniejsze zjawiska sceny polskiej co do myśli i ducha, — odtwarzają bowiem całą naturalną, pierwotną dzielność gminnego serca.

W r. 1844 rozwinęła się na łamach *Biblioteki Warszawskiej* ciekawa polemika o wartość utworu. Rozpoczął ją Aleksander Przeździecki w artykule: *O dzisiejszym stanie literatury dramatycznej w Polsce* (w tomie II), odmawiając utworowi prawa do nazwy dramatu, zarzucając mu brak perypetji. Motyw strącenia Praksedy przez Maksyma w nurty Czeremoszu uważa krytyk za niemoralny; do takiej ohydy jeszcze żaden zbrodniarz francuskiego dramatu nie doszedł. — W słuszną obronę pod ostatnim względem wziął poetę Karol Witte (*Bibl. Warsz.* 1844, tom III, 440), pisząc co następuje:

Czyliż śmiały pomysł Maksyma, aby wydrzeć szyderstwu i pośmiewisku z boleści obłąkaną Praksedę, wydrzeć ją z jej własnych cierpień i stanu poniżającego wielkie jej, miłością przepełnione serce, nie jest wznioślejszem i moralniejszem jak dozwolić tarzać się wśród bólów, nędzy, a może wzgardy? Gdzież dla niej po stracie wszystkiego lepsze, szczęśliwsze schronienie, jeżeli nie w nurtach rzeki, w przepaściach gór, które jej młodość i wiosną śmiejące się dni widziały? A z czyichże rąk dar ten miała otrzymać, jak nie z rąk przyjaciela?

Tak samo zapatrywał się na tę sprawę i Karol Szajnocha we wspomnianej recenzji dramatu. Z tego samego roku znany nam jest jeszcze sąd Zygmunta Krasińskiego, któremu sceny dramatu wyciskały

lzy z oczu. W liście z 9 czerwca 1844 r., pisanym z Warszawy, wyraża się tak: „nieraz zdaleka błogosławiłem Ci, Panie, za to, że tak prosto a wytwornie, tak niewymuszenie a tęskno, tak rytmicznie a pięknie władasz mową naszą“. Z późniejszych krytyków plastycznie uwydatnił nastrój dramatu Kazimierz Władysław Wójcicki:

Te góry, do których wzdycha młody góral, te lasy, strumienie i burzliwe rzeki, do których tęskni tak rzewnie, stają ci przed oczy; za każdą sceną czujesz powiew tego powietrza tak miłego góralom, słyszysz szum rosochatych świerków i buków, łoskot spadających strumieni i bicie bałwanów skalistego koryta rzeki (*Życiorysy*, Warszawa, 1851, II, 148).

Ważne dla oceny dramatu są jeszcze uwagi Chmielowskiego, słusznie określającego *Karpackich górali* jako pierwszy dramat poety, osnuty na tle ściśle pod względem etnografji i warstwy społecznej oznaczonem. Dzieło poety pozyskało współczucie ogólne i naprawdę stało się popularne, głównie dzięki należycie przeprowadzonej psychologii charakterów i charakterowi ludowemu, jaki Korzeniowski zdołał w niem uwydatnić. Nie posuwając się do przesady, zaznacza Chmielowski, że pod względem artystycznym dramat doskonały zupełnie nie jest, wady jednak w porównaniu z zaletami są zbyt drobne. Na tem stanowisku, zajętem przez Chmielowskiego, utrzymują się wszystkie późniejsze sądy o *Karpackich góralach*. W ostatnim czasie z odmiennem zapatrywaniem na znaczenie dramatu wystąpiła Zofja Reutt-Witkowska, utrzymując, że *Cyganie* Korzeniowskiego, jako całość dramatyczna, jako symfonia językowa, zasługują na stanowisko wiele wyższe, niż strumień

wiosenny (?!) — *Karpacy i górale*. Przytoczone przez nią wywody, nie są jednak przekonywujące i nie mogą osłabić dotychczasowych zapatrywań krytyki.

Znaczenie „Karpackich górali“. W rozwoju dramatu ludowego w Polsce stanowią *Karpacy górale* nowe stadium, niezwykle ważne dzięki wprowadzonemu w nich po raz pierwszy nowemu zupełnie pierwiastkowi, którego u poprzednich autorów dramatów ludowych nie było. Potężnym głosem piętnuje Korzeniowski w dramacie straszną niedolę ludu wolnego, nękanego i gnębnego przez państwa zaborcze. Ma na myśli stosunki panujące nie tylko w Austrii, lecz także w Rosji; jaskrawo przedstawia sposób odbywania branki, nadużycia, jakich się przy niej dopuszczają urzędnicy, rzekomi stróże prawa i sprawiedliwości, nieludzką ustawę wojskową, według której pobrani do wojska piętnaście lat nosić muszą karabin. Ten protest przeciw poniewieraniu ludzi w służbie wojskowej, odrywaniu ich od miejsca rodzinnego i od rodzin, odzywa się pierwszy raz w dramacie Korzeniowskiego, przedstawiony zaś jest w kolizji jednostki prawej, szlacheckiej, z organami władzy, obowiązanymi do przestrzegania praw, w przewrotności swej jednak działającymi wbrew nim i ostatecznie odnoszącymi zwycięstwo. Chociaż ze względów cenzuralnych Korzeniowski nie mógł należycie uwydatnić motywu nienawiści Antosia do Niemców, kolizja rozprowadzona na tle patriotycznym nabiera większego znaczenia.

Jako dramat ludowy różni się *Karpacy górale* stanowczo od utworów Bogusławskiego i Kamińskiego realizmem w przedstawieniu fabuły i charakterów. Kiedy w utworach wspomnianych autorów akcja i jej prze-

prowadzenie są wprost naiwne, przedstawia Korzeniowski zdarzenie typowe dla stosunków huculskich ze względu na swą istotę, t. j. brankę do wojska i jej złowrogie skutki dla huculów. Temat obrany przez autora przemawia do nas swą zgrozą; współczujemy razem z nieszczęśliwymi hucułami, zabieranymi do znienawidzonego przez nich wojska, rozumiemy krzywdę i rozpacz tych natur prostych i nieokrzesanych. I postaci wprowadzone do dramatu odmienne od aktorów teatru Bogusławskiego i Kamińskiego: Kiedy u nich lud wiejski przedstawiony jest z idealnej tylko strony, odtwarza Korzeniowski charakter huculów wiernie według rzeczywistości. Z wielką bystrością przyjrzał się ich życiu, zaznajomił się z ich opowiadaniem i śpiewaniem, wniknął w tajniki ich duszy, odtworzył zwyczaje i obyczaje, a stąd wlał w ich postaci dużo poezji tak, że przedstawione są nie tylko zgodnie, z rzeczywistością, lecz także poetycznie.

„Karpaccy górale“ na scenie. Jakkolwiek dramat, wysłany przez Korzeniowskiego, nadszedł do Lwowa w czerwcu 1841 r., ukazał się na scenie dopiero w r. 1844. Złożyły się na to ówczesne stosunki cenzuralne, które uniemożliwiły wcześniejsze wystawienie *Karpackich górali*. Znamienne są w tym względzie słowa wspomnianego już artysty teatru lwowskiego Benzy, który w liście do Korzeniowskiego z dnia 26 czerwca 1841, takie mu przysyłał szczegóły o losach dramatu:

Wszyscy twoi wielbiciele, między nimi i hrabia Fredro, zachwyceni byli po odczytaniu tego dramatu, w którym tak proste, z natury wzięte a przytem pełne wzniosłych uczuć skreśliłeś charaktery! Gdybyś nie więcej w życiu nie był napisał, już ta jedna sztuka podług powszechnego zdania uwiła laurem

twoje skronie! Lecz co za żal niewysłowiony, iż znając tutejsze przepisy, nie możemy się nawet poważić podać jej do cenzury, z obawy, aby przez nią i inne dzieła twego nazwiska nie były raz na zawsze zabronione. Można by wprawdzie poopuszczać niektóre wyrazy jakoto: Niemcy, biała skorupa itp., ale całość osnowy zmienić niepodobna, która przedstawia, iż wzięcie na rekruta i służenie w wojsku już jest nieszczęściem; co większa, że urzędnicy w złem świetle wystawieni, bo nadużyciem prawa stają się sprawcami wynikających okropnych skutków. A któż u nas ma cenzurę w rękę?...

Nawet na umieszczenie artykułu, napisanego przez wydawcę jednego z pism lwowskich o *Karpackich góralach* celem zapoznania publiczności z treścią utworu, nie zezwoliła cenzura lwowska, wobec czego autor, ukrywający się pod pseudonimem Fed'a Borejki, artykuł swój wydrukował w poznańskim *Orełdowniku*. Wystawiono dramat dopiero w r. 1844, w dn. 21 czerwca, po dokonaniu znacznych zmian. Usunięto z niego wszystkie wzmianki o Niemcach, o rządzie austriackim, wojsku, służbie wojskowej, wszystkie wyrazy niemieckie; nazwy „mandatarjusza“ i „strzelca“ zastąpiono innemi, nawet nazwy Rewizorczuka i Tychończuka wydały się niebezpiecznemi. Główne role obsadzone były w następujący sposób: Antoś: Witalis Smochowski, Marta: Apolonja Kamińska, Prakseda: Anieli Aszpergerowa, Prokop: Rejmers, Mandatarjusz: Szczęsny Starzewski, Maksym: Jan Nowakowski. Według Szajnochy, Smochowski był podporą i duszą całego przedstawienia. Niekiedy zbyt deklamował, z małym uczuciem, ale w ostatniej scenie stał się godnym podziwienia. Natomiast Nowakowski przesadził zbytnią uroczystością deklamacji, Rejmers za mało miał prostoty, zbytecznie rzucał się fircy-

kowato. Aszpergerowa grała z widoczną niepewnością, która jej co chwila głos, mimikę i charakter zmieniać kazała. Dopiero w scenie obłąkania grała z taką pewną przytomnością umysłu, jakgdyby przy najzdrowszych zmysłach recytowała jaką rolę na pamięć. Kamińskiej głos nie dopisywał. — Muzykę do *Karpackich górali* ułożył Jan Nepomucen Nowakowski. Zarzuca Szajnocha, że w przedstawieniu było za wiele muzyki, śpiewów i baletu.

Korzeniowski w liście do Benzy z 1 listopada 1840 r. zgadzał się na pewne zmiany, ze względu na cenzurę: „Starałem się unikać wszystkiego, coby mogło drapnąć po uchu cenzurę. Gdyby wszakże co się znalazło, daję wam pełną moc piłować póty, póki delikatna rączka cenzora nie powie, że już niema żadnej chropowatości. Rozumie się, że jeżeli zechcą tak przemieniać, że z prostego górala zrobi się krzywy szłapak, to dajcie pokój, niech leży“.

Zmiany, wprowadzone przez cenzurę, przeszły jednak oczekiwania autora; dotknięty niemi, pisze do Benzy 30 czerwca 1844 r.: „Afisz *Góralów* odebrałem. Pocóż tam takie przemiany? czyż na mandatarjusza nie pozwoliła cenzura? czy strzelec gorszy od Hajduka? czy Rewizorczuk zawadzał, że go przerwano Dobiasiem? Jakiż to Kuźma, przyjaciel Antosia?“ Nie był też kontent Korzeniowski z umieszczenia tańców w dramacie: „I gdzie było umieszczone to nieszczęśliwe *pas de deux*? — jeżeli w pierwszej scenie, no, to jeszcze, — ale jeżeli gdzie dalej, to protestuję się i nie pozwalam na żadne wybryki baletowe tam, gdzie potrzebna gra prosta, chłopska, ale głęboka i silna“. W sprawie inscenizacji dramatu podawał Korzeniowski Benzie w liście z 1 listopada 1840 następujące wskazówki: „W układzie

scen starałem się, ile można, ułatwić dekoratorowi urządzenie kurtyń tylnych. Proszę go tylko, żeby w I akcie miejsce przed karczmą było płytsze, izba górala żeby była głęboka, co potrzebne będzie dla efektu sceny ostatniej“.

Z dalszych wystawień *Karpackich górali* we Lwowie zasługują na wzmiankę: odegranie ich przez akademików lwowskich 4 czerwca 1848 r., wystawienie w r. 1850 (28 lipca) z Adamem Miłaszewskim w roli Antosia, w 1864 (w maju) z Heleną Szymańską w roli Praksey. Z późniejszych wykonawców na scenie lwowskiej zapisali się dobrze w pamięci widzów Roman Żelazowski w roli Antosia, Władysław Wojdałowicz w roli mandatarjusza, Marceli Zboński w roli Maksyma, Aszpergerowa w roli Marty.

W Krakowie weszli na scenę *Karpaccy górale* po raz pierwszy także w r. 1844, nie mieli jednak wielkiego powodzenia, gdyż w r. 1845, choć dopiero po raz czwarty wystawieni, nie ściągnęli widzów, przyjęci bez oklasków i ozięble. Pozatem wystawiono sztukę jeszcze w r. 1850, 1854, 1864 (z Szymańskimi w roli Rewizorczuka i Praksey).

W Warszawie wystawiono nasz dramat, pod zmienionym tytułem: *Nad Czeremoszem*, po raz pierwszy dopiero w r. 1897, w setną rocznicę urodzin autora; w tym samym roku wznowiono go w Krakowie.

Pozatem grano *Karpackich górali* w Poznaniu, w Brodach w r. 1862, Iwoniczu w r. 1858, Kownie w r. 1860, w Krotoszynie w r. 1875 i t. d.

Do dziś dnia nie schodzi dramat z repertuaru scen polskich; zwłaszcza rola Antosia jest popisową dla najwybitniejszych artystów polskich.

NOTATKA BIBLIOGRAFICZNA

A) Wydania i tłumaczenia:

1) Pierwsze wydanie *Karpackich górali* wyszło w r. 1843 w Wilnie, 2) drugie w r. 1849, także w Wilnie, nie różniące się od wydania pierwszego, na którym opieram tekst obecnego wydania, z zastosowaniem w niem zasad, przyjętych w wydawnictwie *Biblioteki narodowej*. Obok dramatu podają przedruk artykułu Korzeniowskiego: *O Hucutach*, czego w żadnym z dotychczasowych wydań nie uczyniono. Późniejsze wydania dramatu, ogłoszone po śmierci Korzeniowskiego, są następujące: 3) w *Dziełach* Józefa Korzeniowskiego, Warszawa 1872, t. VIII; 4) w zło-czowskiej *Bibliotece powszechnej* w r. 1894 (nr. 102); 5) w *Bibliotece Uniwersytetów ludowych* (nr. 90, Warszawa 1908, drugie wydanie 1910); 6) w *Arcydzieliach polskich i obcych pisarzy* (nr. 74, Brody, b. r. [1910], ze wstępem i objaśnieniami Wiktora Hahna); 7) w *Biblioteczce narodowej* (nr. 93, ze wstępem i objaśnieniami Henryka Gallego, Warszawa 1917). Obecne wydanie jest ósmem z rzędu. W wydawnictwie *Naród sobie* (t. IV, Poznań, 1912) ogłoszono tylko muzykę i śpiewy.

Przełożono dramat na języki niemiecki, rosyjski i ruski.

B) Ważniejsze opracowania:

Borejko Fed': *Karpaccy górale*, dramat Józefa Korzeniowskiego w 3 aktach. „Orędownik naukowy“ 1841, nr. 28—32, str. 224—5, 233—4, 242—4, 249—52, 257—8.

Widman Karol: Józef Korzeniowski. Studium literackie. Lwów, 1868, str. 74—81.

Czarnik Bronisław: 1) Korzeniowski i teatr lwowski (1822—1844). Lwów, 1898.

— 2) Korzeniowski: *Karpaccy górale*. Brody, 1898.

— 3) Józef Korzeniowski: *O Hucutach*. Z języka rosyjskiego przełożył i wstępem opatrzył ..., Lwów, 1899.

Lubowski Edward: „Nad Czeremoszem“ (*Karpaccy górale*). Kurjer codzienny (Warszawa), 1897, nr. 81.

Chmielowski Piotr: 1) Nasza literatura dramatyczna. Petersburg, 1898, tom I, str. 293 i n.

— 2) Józef Korzeniowski, jego życie i twórczość literacka. Zarys biograficzny. (Życiorysy sławnych Polaków, nr. 3) Petersburg, 1898, str. 57-60.

Gawlikowski Jan: O patryjotyzmie Korzeniowskiego. W Brodach, 1899, str. 24—38.

Galle Henryk: Józef Korzeniowski, jego życie i pisma. Charakterystyka literacka. (Książki dla wszystkich, t. 90). Warszawa, 1903, str. 64—72.

Albiński Marjan: Józef Korzeniowski jako pisarz dramatyczny („Przewodnik naukowy i liter.“, Lwów, 1912. — O *Karpackich góralach* str. 537—540).

Dąbrowski Tadeusz: Józef Korzeniowski. Szkic literacki. Lwów, b. r. (1913), str. 19 i n., 34 i n.

Reutt-Witkowska Zofja: Studja nad utworami dramatycznymi Korzeniowskiego. (Prace historyczno-literackie Nr 15—16 i 18). Warszawa-Kraków. Część pierwsza i druga, 1921, str. 108—131 i w kilku jeszcze miejscach. Część trzecia 1922 (kilka drobnych wzmianek).

JÓZEF KORZENIOWSKI

O HUCUŁACH¹

Ośmieliwszy się przedstawić publiczności niektóre rysy charakteru, zwyczajów i życia karpaccich górali², uważam za potrzebne powiedzieć kilka słów tak o samym miejscu, gdzie odbywa się akcja mego dramatu, jak o występującym w nim ludzie, który przedstawiłem w całości w niewielu postaciach, wprowadzonych przezemnie na scenę.

Chcę mówić tutaj o tej części gór karpaccich, która poczyna się w austriackiej Mołdawji, znanej pod nazwą Bukowiny, i rozciąga się ku polskim Tatrom aż do granicy węgierskiej, 12 albo i więcej mil geograficznych. Karpaty dosięgają tu wysokości znacznej i przedstawiają niezwykle malowniczy widok. Dziewicze lasy, urwiste i ogromne skały, z których w wielu miejscach spadają wodospady, — kręte rzeki, rzucające się z bystrością w nizinę, a osobliwie zielone łąki, tworzące bogate pastwiska na wszystkich prawie wierzchołkach, wśród których jedna tylko Czarnohora podnosi na kilka tysięcy stóp ciemne i mroczne czoło

¹ Artykuł ten ogłosił Dr Bronisław Czarnik w r. 1899 (por. notatkę bibliograficzną). W obecnem wydaniu po raz pierwszy łączymy artykuł poety z dramatem, jako niezwykle ważny komentarz do poznania jego genezy.

² Mówi tu Korzeniowski o dramacie *Karpaccy górale*.

swoje, wszystko to zachwyca różnaitością, czaruje świeżością i uderza ogromem.

Jak zwykle w górach, tworzą się i tutaj z mnóstwa źródeł, śniegów tających i deszczów, płytkie strumienie, z których jedne cicho i spokojnie, inne z hałasem i bystrością potoków wpadają do Czeremoszu, Czarnego i Białego. Te dwie rzeki główne poczynają się na granicy Węgier, gdzie tworzą prześliczne wodospady, i przepłynąwszy łańcuch gór przez całą jego szerokość, wpadają do Prutu. Z powodu niewielkiej głębokości są one w wielu miejscach dogodne do przeprawy; tylko na wiosnę, w jesieni, nawet i w lecie, gdy woda wskutek deszczów powiększa się, występują z brzegów i pędzą z okropnym szumem po wystających skałach i kamieniach. Wzdłuż tych rzek znajdują się wszystkie osady górali. Również i lasy przynoszą tutaj korzyść, można je bowiem dogodnie spławiać do sąsiednich miast; po tej stronie gór, gdzie niema rzek, istnieją z dawnych czasów nieprzebyte i głuchoe pustynie, z których nikt nie może wyciągnąć żadnej korzyści i które służą tylko jako przytułek dla rozbójników i dzikich zwierząt.

O pięć godzin drogi od węgierskiej granicy znajduje się drogocenne dla tej krainy źródło mineralnej wody, które nazywają tam Burkutom. Nie ustępuje ono wcale kaukaskiemu Narzanowi; odwiedzają je corocznie słabi i zdrowi, wyprawiający się w góry dla leczenia się i użycia przyjemności. Nad tą rzeką znajdują się trzy główne wsie góralskie, do których należą liczne chaty, porozrzucane po górach, mianowicie Żabie, Krzyworównia i prześliczna wieś Jaworów. Do Jaworowa można jeszcze dojechać na kołach. W tym celu bierze się zwykle niewielką

bryczkę w ostatniem mieście galicyjskiem, Kossowie. Dalej trzeba już najmować górali do usługi, a ich konie do przejazdu i przewiezienia obozu. Mniej wzniesiony pas, rozciągający się od miasta Kossowa w dół do samego Prutu, nazywa się *Fokuciem*, od tutejszego miasta głównego *Kuty*, gdzie znajduje się wydział władzy obwodowej, pod którego zwierzchnictwem są mieszkańcy gór. Cała ta strona nadzwyczajnie bogata w słone źródła, z których austriacki rząd ciągnie wielkie dochody.

Mieszkańcy gór karpackich, w granicach wyżej oznaczonych, są ruskimi Słowianami. Właściwie nazywają się oni *Huculami*, od słowa *koczować*, ponieważ w czasach napadów Tatarów i Turków mieszkańcy kraju, leżącego po tamtej stronie Dniestru, szukali dla siebie schronienia w górach i, koczując tam, przezwali siebie *Koczulami*. Huculi mówią narzeczem południowo-ruskim, tem samym, którem mówi naród prosty w większej połowie Galicji, w guberniach wołyńskiej, podolskiej, kijowskiej i w całym małosyjskim kraju. Jednakowoż w narzecze Huculów, jak to zwykle zdarza się w narzeczach pogranicznych, wkradły się słowa wołoskie i węgierskie; szczególnie jednak znaczna w niem przymieszka słów i zwrotów polskich, pochodzących z częstych stosunków górali z tamtejszymi dziedzicami. W wymowie jest jakieś przeciąganie, połączone jakoby ze śpiewem, dającym się słyszeć już i koło Kołomyi i niepozbowionym pewnego wdzięku, zwłaszcza w ustach kobiet.

Huculi są wyznania grecko- . . . ¹. Liczą ich do 30.000 dusz. Chaty ich, pobudowane z belek jodłowych,

¹ Drugi wyraz opuszczony przez autora.

składają się z sieni, izby i komory. Nigdy ich nie bielą; jednakowoż lubią i przestrzegają czystości i ochędóstwa. Odzież świąteczną górali opisałem we wskazówce dla aktorów, na samym początku pierwszej sceny. W domu i przy zajęciu zdejmują płaszcz i pas; w lecie, dla lekkości, chodzą w jednej koszuli, lecz w zimie, do codziennego użytku, mają tak mężczyźni, jak kobiety, opończę bez rękawów, ciemno-czerwonej barwy, która nazywa się bundą.

Pszenica turecka albo kukurudza jest najważniejszą dla nich rośliną. Z mąki tego pożywnego ziarna pieką chleb, który nazywa się *malajem*, i gotują gęsty żur (kisiel) czyli *mamałygę*. Ta ostatnia, przysposobiona z owczym twarogiem, czyli *bryndzą*, i krowiem masłem stanowi dla nich jedyną, zdrową i bardzo smaczną potrawę. Mięsa nie lubią, z ryb zaś jedzą jedne tylko pstrągi, które umieją wybornie wędzić.

W drogę bierze każdy góral z sobą na konie niewielki kocioł, woreczek z mąką i faszeczkę z bryndzą i masłem. Gdzie jest woda dla koni, gdzie zieleni się trawa, tam urządzają i nocleg. Stanąwszy, natychmiast puszczają swoje konie, zakładają naokoło ognia cały obóz, zawieszają kocioł, przy którym jeden z nich sprawuje godność kucharza, i dopóki nie zgotuje się wieczerza, grają na flecie, śpiewają piosenki, opowiadają o rozbójnikach, panach i strażnikach od tytoniu. Dwa razy przepędziłem z nimi noc w ten sposób, przypatrywałem się z upodobaniem ich zwinności, wesołości i rozsądkowi; zazdrościłem im poetycznego życia tam, gdzie przyroda tak wspaniała, a potrzeby tak ograniczone.

Mają jednak i oni swoje troski i biedy. Chociaż z powodu miejscowych stosunków nie mogą zajmować się rolnictwem, mają jednak różne powinności i dwanaście dni pańszczyzny na rok, tak w majątkach rządowych, jak i obywatelskich. Nadużycie uczyniło te dwanaście dni, że się tak wyrażę, elastycznymi i rozciągnęło je na kilka miesięcy. Pańszczyzna ta polega na tem, że każdy gospodarz ma zrobić dwanaście tratw wielkości oznaczonej i spławić je na miejsce wskazane przez dziedzica lub ferwaltera¹, t. j. rządowego zarządcę. Zwykle przygotowują górale swoje tratwy w zimie. Wtedy zrębiają jedlinę w górach, robią ścieżkę w śniegu, w jak najprostszym kierunku do rzeki, i po niej spuszczaają przygotowane kłody. Gdy rzeka uniesie wszystką krę lodową i napelni się wodą tak, że nigdzie nie pozostaną miejsca płytkie, wtedy wyprawiają się oni ze swojemi tratwami. Każda tratwa ma dwa stery i dwóch sterników. Nie potrzeba wioślarzy, albowiem woda sama niesie tratwy z niezwykłą bystrością. Ciekawa to rzecz widzieć, z jaką zręcznością unikają górale sterczących kamieni i groźnych skał. Ich przytomność umysłu, ich siła i śmiałość, tem bardziej godne uwagi, że niebezpieczeństwo prawie nieustannie im zagraża tak, że ich oczy i ręce ani na ćwierć godziny nie mogą odpocząć.

Ponieważ lasy stanowią tam prawie wspólną własność i każdy ma prawo rąbać, gdzie chce i ile chce, są górale w stanie wyprawić, prócz tratw obowiązkowych, jeszcze dwie lub trzy na rok dla własnej korzy-

¹ z niem.: *Verwalter*, zarządzający

ści. Sprzedają także ser owczy czyli bryndzę i sierść; dlatego gorliwie zajmują się swojemi stadami. Każdy gospodarz ma dużo owiec i kilka krów. W lecie wyprawiają je na szczyty gór, na pastwiska, które w narzęczu miejscowem nazywają się *połoninami*. Tam zostają one do końca września. Niekiedy idą tam i sami gospodarze, lecz po większej części powierzają nadzór nad stadami osobnym ludziom, którzy nazywają się u nich *bacami* (od słowa *baczu*, patrzę, nadzoruję). Równocześnie zajmują się gospodarze zbiórką siana, odrabiają wszystkie swoje powinności, zajmują się rybołóstwem i polowaniem, odwożą do miasta wszystkie przedmioty swojego przemysłu, albo najmują się do służby u panów, udających się do Burkutu. Kobiety pozostają zawsze w domu; przędą, szyją odzież i wychowują dzieci.

U każdego górala jest jeszcze koń, jeden albo więcej. Te konie służą do jazdy i do przewożenia rzeczy, przeznaczonych na sprzedaż i innych. Niewielkiego wzrostu i leniwe, ale za to trzeba się zdumiewać, z jaką odwagą, z jaką pewnością idą w miejscach niebezpiecznych, po krętych i wąskich drożynkach, po gołej skale i przez rzekę. Tam, gdzie każdemu nieprzyzwyczajonemu kręci się w głowie i drżą nogi, górale śmieją się, radzą zakryć oczy, złożyć ręce i nie dotykać lejców, powierzyć swoje życie pewności i roztropności ich biednego i chudego konika.

Uzbrojenie górali składa się z karabina, pistoletów i topora. Ostatni jest ich ulubionem narzędziem. Topór służy im przy robocie, pomaga wchodzić na góry i spuszczać się na dół; on jest głównym ich orężem w walce

z nieprzyjacielem i dzikimi zwierzętami; z nim urządzają igraszki w swoich narodowych tańcach, słowem, topór wszędzie gotów na usługi górala i znajduje się stale w lewej jego ręce, jak szpada przy boku oficera. Ich zręczność w użyciu tej strasznej broni jest zadziwiająca. Spotkawszy się niespodziewanie z niedźwiedziem, dopuszczają go do siebie na kilka kroków i wtedy ciskają topór, który pogrąża się we łbie rozjątrzonego zwierzęcia. Na dziesięć, piętnaście, niektórzy na dwadzieścia kroków, odcinają zgóry upatrzoną i wskazaną gałąź. W tańcu, trzymając jedną ręką dziewczkę, drugą rzucają topór w górę, chwytają znowu, a zawsze w takt gry fletowej. W ogólności zadziwiająca jest we wszystkich ruchach zwinność i siła mężczyzn; prawie wszyscy są pięknego wzrostu i silnej budowy. Kobiety kształtne i ładne, tylko w ich głosie i ruchach jest coś męskiego.

Nieobznajomionemu z charakterem górali będzie się zdawało z początku niezbyt przyjemnie żyć między nimi, dlatego, że ich obejście się jest chłodne, postawa zuchwała, odpowiedzi dumne. Lecz jeśli kto potrafi ująć ich sobie, co jest wcale nietrudną rzeczą, dobrem słowem i skromnym podarkiem, — wówczas oddają się oni całkiem na usługi i gotowi są spełniać wszystkie rozkazy. Góral, wezwany przez zwierzchnika, odpowiada natychmiast: Powiedz, panie; to znaczy, powiedz tylko, a wszystko będzie zrobione. Z natury porywczy, z powodu miejscowych stosunków i ograniczonych potrzeb niezawisły, lubi on do szaleństwa swoje góry, nie zapomina nigdy urazy i czuje silnie każdą niesprawiedliwość. Wzięty w rekruty i tęskniąc do rodziny, jeżeli tylko może zbiec, z pewnością zbiegnie, a wróciwszy

w góry, szuka ocalenia wśród rozbójników, którzy w miejscowym języku nazywają się *opryszkami*.

Zdarza się, że wśród tańców i wesela, w karczmie i innych miejscach, topór pogrąża się nagle w piersi obrażającego. Górale uważają taki postępek za zupełnie naturalny, wcale nie przeszkadzają zbójcy uciekać w góry i ratować się przez połączenie z bandą rozbójników. Takim sposobem miejsca te nigdy prawie nie są wolne od opryszków; to jednak nie pochodzi z ich skłonności do rozbójnictwa, jak to niesłusznie im wyrzucają, lecz prosto z gorącości ślepych, ale wcale nie niskich namiętności. Te same namiętności wrodzone są każdemu człowiekowi, lecz my wiemy, że one powinny ustępować przed rozsądnymi wymaganiami rządu i siłą prawa. Tego zaś po większej części nie pojmują te półdzikie dzieci natury i wskutek tego giną. Przytem trzeba powiedzieć, że niższe urzędniki, jak ferwaltery, mandatarjusze¹, setnicy, strzelcy i t. d., wcale nie psychologowie, zawsze gotowi do nadużyć, nie oszczędzają wrodzonej dumy górali, przez to doprowadzają ich do zuchwałości, gwałtowności i nierzadko wprost do zguby.

Rząd austriacki, troszcząc się o bezpieczeństwo tych miejsc, przedsięwziął bardzo srogie środki. Władza obwodowa, a w razie potrzeby nawet jeden jej członek,

¹ W każdym majątku, czyto rządowym, czyto obywatelskim, który tam nazywa się *dominium*, jest mandatarjusz, rodzaj stanowego prystawa, spełniający wszystkie polecenia rządu. W górach przydani mu są do pomocy setnicy i dziesiętnicy, pod nazwą strzelców. Pochodzą oni z górali i tworzą policję we wsi i w górach, za co uwalniają się od pańszczyzny i wszystkich innych powinności. (*Przypisek autora.*)

ma prawo powiesić każdego opryszka we 24 godzin. Rozumie się, że środek ten umniejszył cokolwiek ich liczbę, ale nie ukrócił zła, dlatego, że namiętności pozostały tak samo gorącemi i na lepsze się nie zmieniły.

Rzeczywisty wypadek, opiewany w ludowej pieśni góralskiej i będący treścią mojego dramatu, zdarzył się kilka lat przed moją bytnością w tych miejscach. W roku 1840, gdy byłem w Karpatach, żyła jeszcze we wsi Żabiu wdowa po strzelcu, którego zabił młody góral, okrutnie skrzywdzony jego nieludzkim i bezprawnym postępkami. Po dwóch latach zbiegł on z pułku, aby się zemścić za swoją krzywdę. Jego historję opowiem wam z dumą każdy góral, dodając: „Szczęśliwy on, jego powiesili jakby jakiego Pana“.

Tyle o górach i góralach dla wyjaśnienia niektórych ustępów dramatu. O samym dramacie mówić nie będę i nie mogę. Utwór sztuki, jeżeli nie jest dziećciem podrzuconem, winien sam wskazać widzom, co chce wyrazić.

KARPACCY GÓRALE

Nyma ryby w Czeremosi,
Wsiu poiła szczuka;
Powisyły Tychończuka
I Rewizorczuka
(Pieśń gminna góralska)

O S O B Y :

ANTOŚ REWIZORCZUK ¹, młody góral

MARTA, jego matka

PRAKSEDA, jego narzeczona

MAKSYM TYCHOŃCZUK ¹, stary góral, wuj Prakseidy

PROKOP, strzelec rządowy

ANNA, jego żona

HERSZKO, arendarz w miasteczku, niedaleko ode Lwowa

FELDFEBEL ²

MANDATARJUSZ ³ we wsi góralskiej Żabie ⁴

KOMISARZ cyrkularny ⁵ z Kut ⁶

OFICER od piechoty

GÓRALE starzy i młodzi, różnej płci — Opryszki, żołnierze.

Scena odbywa się w Karpatach, między wsią Żabie i węgierską granicą po Czeremoszu.

¹ Nazwy *Rewizorczuka* i *Tychończuka* przejął Korzeniowski z pieśni ludowej; por. czterowiersz użyty jako motto dramatu.

² *Feldfebel* (z j. niem. *Feldwebel*): najstarszy z podoficerów w kompanji.

³ O mandatarjuszu por. uwagę Korzeniowskiego w artykule *O Hucutach* (p. str. 31). Nazwa mandatarjusz pochodzi z jęz. łacińskiego (*mandatarius*): wykonywujący mandata (polecenia) rządu. Por. jeszcze uwagę poety w tekście, akt I, sc. I (str. 41).

⁴ *Żabie*: wieś na Pokuciu, nad Czeremoszem, dopływem Prutu, u stóp Czarnohory, najwyższego grzbietu we wschodnich Karpatach.

⁵ *Cyrkularny*: obwodowy. Dawniej była Galicja za rządów austriackich podzielona na 18 cyrkułów (obwodów).

⁶ *Kuty*: miasteczko nad Czeremoszem, na granicy między Bukowiną, a wschodnią Małopolską.

AKT PIERWSZY

SCENA I

Miejsce przed karczmą we wsi Żabie. Huculi, kobiety i dziewczki, w świątecznych sukniach; starcy siedzą przy stole, młodzi koło kobiet i dziewcząt różnie ugrupowani. Ubiór mężczyzn następujący: opięta kurtka bez rękawów barankowa, włosiem na spód, pas szeroki, nabijany żółtymi goździkami; spodnie granatowe lub czerwone, na które spuszczone koszula; chodaczki lekkie skórzane, za pasem tyżka, nóż i para pistoletów; włosy długie, spadające w kędziorach na ramiona; kapelusz czarny, okrągły, z dużemi skrzydłami i z piórkiem, na ramionach płaszcz amarantowy, bez rękawów, nie dosięgający do kolan, po brzegach czarnym sznurkiem wyszyty, takimże sznurkiem zawiązany pod szyją. Starzy jednakowo odziani jak i młodzi. U każdego, bez różnicy wieku, na lewej ręce toporek. Kobiety ubrane jak Galicjanki. U dziewczek w końce warkoczów, zarzuconych na wierzch głowy, wplecione białe kosteczki i amarantowe tasiemki lub wstążki, poza uszy spuszczone, spadają na piersi; rękawy u koszul wyszywane; koszule bez kołnierzków, ale wysoko pod szyją ściągnięte; mnóstwo paciorek i koralów z dukaczem.¹ Przy otwarciu kurtyny słyhać nutę znanej kołomyjki przy akompanjamentie fletu.

Chór (kończy pieśń)

Już wam więcej nie zadzwonią

Dzwony Kołomyji.²

Maksym (powstaje od stołu i wychodzi na środek).

Ej! przestańcie, do licha! Ja tej pieśni cierpieć nie mogę. Ona zawsze coś złego przepowiada.

¹ Z języka ukraińskiego: złoty pieniądz albo medal, który noszą Huculki u koralu na piersiach.

² *Kołomyja*: miasto we wschodniej Małopolsce nad Prutem, na południe od Stanisławowa. Dwuwiersz powyższy pochodzi ze zwrotki, przytoczonej poniżej w a. I (str. 43). Jest to luźna zwrotka układu samego poety. Por. o niej uwagi we Wstępie.

Prakseda. Czemuż to, wujciu Maksymie?

Maksym. A ot czemu! Gdy mnie brali w rekruty, jakiś djabeł wówczas tę pieśń mi zaśpiewał. Zato też piętnaście lat nosiłem karabin i ubierałem się codziennie w czarne kamasze. Teraz, gdy mię Niemcy wypuścili, daj im Boże zdrowie, i pozwolili obaczyć swoje jodły i połoniny*, nie chcę, żeby mi się nawet śnił biały mundur. Hej! Fediu! chodź tu! Ty moją mi piosnkę zagraj, a ja stary wam zaśpiewam po swojemu.

(Fedor występuje z fletem, inni grupują się koło niego, Maksym śpiewa:¹)

Czerwony płaszcz, za pasem broń,
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!
Gdy świeży liść okryje buk,
I Czarna góra szernieje,
Niech dzwoni flet, niech ryczy róg;
Odżyły nasze nadzieje! —
Pękł rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz szumi po skale;
Nuż w dobry czas, kędziory trzód
Weseli kącicie górale!
Połonin step na szczytach gór;
Tam trawa w pas się podnosi,
Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
Tam żaden pan ich nie kosi. —
Dla waszych trzód tam paszy dość,
Tam niech się mnożą bogato,
Tam runom ich pozwólcie rość,
Tam idźcie na całe lato.

* Obszerne i bogate pastwiska na wierzchołkach gór, nie dochodzących do takiej wysokości jak Kręta i Czarna, nazywają się w tamtejszym języku połoniny. *(Przypisek autora)* Por. jeszcze objaśnienie poety w artykule: *O Hucutach* (str. 29).

¹ Por. o tej pieśni uwagi, podane we Wstępie.

A gdy już mróz posrebrzy las,
Ładujcie ostrożne¹ konie;
Wy z plonem swym witajcie nas,
My z czarką podamy dłonie.

Chór. Czerwony płaszcz, za pasem broń,
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń,
To strój, to życie górala!

Starzec. Dziękujemy, Maksymie, dziękujemy. Prawdęś powiedział. Tak zawsze bywało, i dobre były czasy.

Jeden z młodych. Alboż teraz złe, ojcze? — Spojrzyjcie na nas, czy to my nie zuchy? a tu spojrzyjcie, czy to nie jagódki?

*(Chwyta za ręce jedną z dziewczek i pokazuje ją starym;
ona się wykręca i ucieka)*

Starzec. Prawda, chłopcze! dla was to i teraz czasy dobre, ale dla was także mogą być i złe. Nam starym już wszystko jedno.

Młody. Będzie, co Pan Bóg da, ojcze!

Maksym. Dobrze mówisz. Lubię cię za to. Będzie, co Pan Bóg da. A teraz, kiedy piosenkę pochwalili, szynkarko, daj wódki! ja zapłacę *(pije)*. Dobra! Dajże jeszcze i ojcom. Pijcie, ojcowie, za zdrowie tych zuchów i tych jagódek.

Młodzi. Dziękujemy.

Prakseda *(przystępuje i głaszcze go pod brodę)*. I my dziękujemy, wujciu Maksymie!

Maksym. A nu, dzieci, czyj tu topór najlepszy? ² Kiedyś, nim mię wzięli w kamasze, ³ nikt się nie śmiał próbować z Tychończukiem, a teraz Bóg wie. Precz! odstąpcie! Wiele kroków do tego drzewa?

¹ Konie huculskie, przyzwyczajone do górskiego terenu, odznaczają się wielką ostrożnością w obieraniu drogi.

² Do następującej sceny rzucania toporem por. słowa poety w artykule: *O Hucułach* (str. 29--30).

³ do wojska.

Kilka głosów. Z dziesięć.

Maksym. Dziesięć — dobrze. Ale pierwszej po dawnemu. Dawajcie tu kapelusz. Kto chce ze mną rzucać?

Kilku. Ja — i ja — i my.

Maksym. Dobrze, dobrze. Ochota gorsza od niewoli.¹ A będzie wam wstyd, jak was stary zwycięży. Praksedo, trzymaj! (*daje jej trzymać kapelusz*) Rzućcie tu każdy po pięć krajcarów.² Kto odetnie tę oto gałąź o dziesięć kroków, wszystko, co w kapeluszu, to jego.

Prokop. Czekaście! (*rzuca cwancygiera*)³

Prakseda. Oho! jaki szczodry! cwancygiera rzucił.

Prokop. Nie turbuj się, moja miła! Wróci on do mnie.

Prakseda. Może i wróci, bo najlepszego między wami niema.

Prokop. I któż to ten najlepszy? he?

Prakseda. He! nibyto ty nie wiesz, o kim ja mówię. Gdyby on tu był, jabym swoje korale i swego dukacza wrzuciła.

Prokop. Dla mnie?

Prakseda. Jutro rano — dla ciebie.

Maksym. Czy to twój Antos Rewizoreczuk taki zuch? O! patrzcie, jak poczerwieniała — pewnie zgadłem. (*Prakseda daje znak potwierdzenia z figlarnym uśmiechem*) Kiedy tak, zaczekajmyż na Antosia.

Prokop. A toż znowu co? Gromadzie czekać na jednego? starszym na młodzika?

Młody. Nie do smaku mu topór Antosia.

Prakseda. Cwancygier, to pieniądze.

Kilku. Boi się.

Prokop. Nu, czekajcież, jeśli chcecie. (*nu stronie*)
Przeklęty młokos!

¹ W znaczeniu: gorzej dla was, że macie ochotę do rzucańca, niż gdybyście zostali zniewoleni, bo pokonani okryjecie się wstydem niejako z własnej woli.

² *Krajcar*: dawna moneta austriacka (z niem. *der Kreuzer*.)

³ *Cwancygier*: dawna srebrna moneta austriacka (*der Zwanziger*), licząca 20 krajcarów.

Młody. Niedługo będziecie czekać — patrzcie — otóż i on!

Antoś (*wchodzi szybko*). Co się tu robi? Co ty masz w ręku? Praksedo!

Prakseda. Potrzymaj, Antosiu! (*daje mu kapelusz, sama zdejmuje korale i rzuca*) tylko mię nie zawieź, niech cię Pan Bóg broni! (*grozi*)

Antoś. Co to znaczy?

Maksym. Zakład, Antosiu! — Kto tę gałąź odetnie o dziesięć kroków, weźmie wszystko, co w kapeluszu.

Prakseda. I moje korale — pamiętaj!

Antoś. Zgoda — tylko o dziesięć, to mało; o dwadzieścia.

Prokop. I ja o dwadzieścia.

Inni. I my, i my.

Antoś. Staremu można i o dziesięć.

Maksym. Nie chcę. I ja, jak wszyscy. Nie trafię — powiecie, że stary, i basta. Trafiłbym o dziesięć, tobyście powiedzieli: niewielka sztuka. Nie, nie chcę. A potem wziąłbym korale Praksedy, które pewnie nie dla mnie.

Prakseda. Nie dla ciebie, wujaszku, nie!

Maksym. Odmierzcie kroki. Ja zaczynam.

(*Odmierzają. Maksym staje i rzuca topór*)

Wszyscy. Chybił!

Stary (*za stołem*). Chodź, bracie Maksymie, do nas za stół. Już to nie nasza robota.

Kilka głosów. Któż teraz?

Maksym. Niech Prakseda naznacza.

Antoś. Praksedo! mnie na ostatku.

Prakseda (*woła*). Fedio!

Kilku. Chybił!

Prakseda. Czarny! (*ten rzuca*)

Inni. Chybił!

Kilku. To za daleko! My nie chcemy.

Prokop. Puszczajcież mnie. Praksedo! wołaj.

Prakseda. Strzelec! zausznik mandatarjusza! (*Prokop występuje*) Ach! to wy, Prokopie?

(*Wszyscy śmieją się, Prokop rzuca topór*)

Jeden z młodych. Zadrasnął gałąź, ale nie odciął. Szkoda!

Prakseda. Szkoda cwancygiera. Może go pan mandatarjusz dał za jakie porządne kłamstwo.

Antoś. Milcz, Praksedo!

Prokop. I ja mówię: milcz! Teraz się śmiejesz, wkrótce możesz płakać.

Antoś. Tylko jej nie groź. Ona moja; a ja, ty wiesz o tem, nie zaraz się złękne. — No, Praksedo!

Prakseda. Antoś! (*pokazuje mu z umizgiem korale*)

Prokop. Czekaście! A jeśli i on nie odetnie! Mój topór drasnął gałąź.

Wszyscy. Starzy rozsądzą.

Prakseda (*tupa nogą*). Obejdzie się. — Któż wam powiedział, że nie odetnie?

Antoś. Na bok! (*rzuca topór — niektórzy biegną i przynoszą gałąź*)

Młody. Patrzcie — jak brzytwą odciął.

(*Prakseda rzuca mu się na szyję. Antoś oddaje jej korale. Ona wydobywa cwancygiera, pokazuje go strzelcowi, który przy śmiechu innych odwraca się*)

Antoś. Gosposiu, za te wszystkie krajcary piwa! Pijcie, chłopcy! Kto wie, co jutro będzie? Dzisiaj nasze, a jutro może być cesarskie (*pije, potem porywa Praksedę*) Fediu! graj! (*tańcuje*)

Młodzi (*niespokojnie zatrzymują go*). Przestań, Antosiu! powiedz — ty coś wiesz.

Antoś. Pewnie, że wiem. Posłuchajcie. Byłem w Jaworowie. Tam spotkałem znajomych panów, którzy jadą do Burkutu*. Przeszłego lata służyłem

* Woda mineralna, podobna do kaukaskiego Narzanu, mająca tylko cokolwiek więcej siarki, nazywa się Burkut. Miejsce to leży o dwie lub trzy godziny drogi od węgierskiej granicy, przechodzącej tam przez górę Czepczym. (*Przypisek autora*)

im.* Dobrzy to panowie! Ja ich lubiłem i oni mnie lubili. Chodzili ze mną na wyścigi na Czarną górę, oni na koniach, a ja piechotą. Nie jednego cwancygiera dali mi za to, żem spuszczał jodłę z góry, rzucał za nią topór, doganiał ją, i uchwyciwszy za toporzysko, zatrzymywał na miejscu. Wszak i wy to umiecie.

Młodzi. No, to nie każdy potrafi.

Prokop. Ale cóż ci oni powiedzieli?

Antoś. Oho! ciekawy jesteś? Wasze żniwo się zbliża. Tyś strzelec, ale ty nie wyciągasz lisa z nory, nie ści-gasz sarny po jarach, nie mocujesz się z niedźwiedziem na połoninach; ty, bratku, łowisz Hucuła i oddajesz go Niemcom. Idź precz! Co ja im powiem, to tobie na ucho powie mandatarjusz.**

Prokop. Może już i powiedział.

Jeden z młodych. Antosiu! zmiłuj się, co oni ci powiedzieli?

Drugi młody. Mów, dla Boga! bo mi się zdaje, że już niemiecka ręka łaskocze mię po szyi.

Antoś. Ot, co powiedzieli. Pan Jan Melbachowski, jak mię obaczył, rzekł: — „A co? Antosiu? bieda nie-daleko. U nas już biorą rekrutów“.

Młodzi. Rekrutów?

Kobiety. Rekrutów!

Dziewki. Rekrutów! — Ach! mój Boże!

* Ostatnie miasteczko pod górami jest Kosów. Stamtąd dwa dni drogi, konno, do Burkutu. Między Kosowem i Burkudem leżą trzy wioski góralskie po Czeremoszu: Jaworów, Krzyworownia i ostatnia wieś Zabie, gdzie pomieściłem scenę mego dramatu. Wielkie to i małownicze osady. Huculi ze wszystkich trzech wiosek zbierają się zwykle w Jaworowie i tam oczekują przyjeżdżających. Najmują się oni z końmi do przewozu i zostają potem na usługach panów, za trzy lub cztery cwancygiery. (*Przypisek autora*)

** Rodzaj stanowego przystawa, którego oplaca obywatel. (*Przypisek autora*)

Antoś. „Mandaty¹ już i do nas posłane“ — mówił panu Janowi krejshauptman² w Kołomyi. — „Strzeż się, Antosiu! Szkodaby ciebie“ — rzekła pani Melbachowska. Ja odpowiedziałem: — Wola Boska, wola cesarska, wielmożna pani! Ale ja się nie boję; mnie prawo broni: jam jeden u matki.

Prokop (na stronie). Niewiele ci to pomoże.

Pierwszy młody. Szczęśliwys Antosiu! A ja nie jedynak.

Drugi młody. Djabeł tam będzie jedynakiem, kiedy potrzeba. U mnie braci i sióstr, jak jagniąt w oborze.

Inni. Żle! źle!

Maksym (odprowadza ich na przód sceny) Tyś nie jeden u matki, a ty nie jeden u ojca.

Kilku. Oj! nie! Maksymku!

Maksym. I cóż stąd? A patrzcie-no, chłopcy, co to tu wokoło.

Kilku. A cóż ma być? Góry.

Maksym. A w górach puszcze, w których noga żadnego Niemca nie była; a w górach skały i urwiska, że możesz leżeć pod kamieniem, i koło ciebie stu Niemców przejdzie, a żaden cię nie obaczy; a w górach jodły, jedna na drugiej od pięciudziesiąt lat zwalone, gdzie was nawet gończy pies nie znajdzie, nie dopieroż strażnik tabaczny.³ A co, głupie głowy? wielka wam turbacja?...⁴

Młody. Dziękujemy, Maksymie, za dobre słowo.

Inni. Chłopcy! nie traćmy czasu. Bywajcie zdrowi, ojcowie! bywajcie zdrowe, matki! bywajcie zdrowe dziewczęta! (Wychodzą)

Starzec. Pora i nam do domu. Dziękujemy za piwo, Antosiu! (Wstają i rozchodzą się)

¹ Polecenia, rozkazy.

² Z niem.: dowódca okręgu, starosta.

³ Mowa tu o strażnikach, pilnujących kontrabandy tytoniu.

⁴ Z łac. (*turbatio*), tu w znaczeniu: zaniepokojenie, niepokój.

Antoś (*pokazując na Prokopa*). Jemu podziękujcie, ojcowie! to jego ewancygier. Praksedo! idź ty do domu, ja pójdę do matki. (*Wychodzą*)

Dziewki (*wziąwszy się za ręce, śpiewając odchodzą*)

Gdzieś daleko ich pogonia
Z łańcuchem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonia
Dzwony Kołomyji.¹

(*Pieśń coraz dalej ginie. Wszyscy się rozeszli. Zostaje tylko Prokop, stojący na stronie w zamyśleniu*)

Prokop (*po chwili*). Rób, co chcesz, nic nie pomoże. Wychowaj razem psa z wilkiem; jak poczują siły, pogryzą się. Tylu tu jest chłopców żwawych, młodych, którzy mnie starszego uważają; gdy między nich wejdem, pokłonią się i poczęstują. Z nimi to mnie dobrze, mogę pogadać i poweselić się. Ten przeklęty młokos, jak tylko przyjdzie, podniesie głowę, nos zadrze i z góry na mnie popatrzy, zaraz mi się tak robi, jak gdyby nam dwom na świecie Bożym było ciasno. — I djabli go wiedzą, za co go wszyscy tak uważają? Gdzie się pokaże, każdy zaraz na niego obraca oczy. Niechże dziewczki — no, nie dziw: dwadzieścia trzy lat, rumiane lice, czarny wąsik, bujne kędziory! Ale czemuż i starzy słuchają, kiedy mówi? (*po chwili*) — Rekruty! hm! — Gdyby-to ostrzyc go jak barana, odjąć mu ten przeklęty topór, gdyby-to wetknąć mu w rękę karabin i oblepić ciasnym mundurem, żeby wyglądał jak pobielany Niemiec!² hej! toby dobrze było, aźby mi lżej się zrobiło na sercu. (*Zastanawia się*) Ale cóż? trudno, trudno. Nie da się i dzieściu; a przytem onże³ jeden u matki. Ale otóż i pan mandatarjusz. On na to niechaj znajdzie radę. Oho?

¹ Por. ww. 1—2 aktu I-go.

² Żołnierze austriaccy nosili wówczas białe mundury; por. a. II, sc. 2 (str. 61).

³ Przyrostek: „że“ pod wpływem języka rosyjskiego.

musi coś wiedzieć, bo idzie pomaleńku i gębą rucha. On jak wół, kiedy się czem dobrem napasie, spokojnie leży i przeżuwa — tylkoby popijał.

Mandatarjusz (*wchodzi zvolna*). A co, Prokopie?

Prokop. Nie wiem, wielmożny panie!

Mandatarjusz. A ja wiem; to jest: mandat przyszedł z cyrkułu, albowiem kazano brać rekrutów.

Prokop. Rekrutów? — a skąd ich wziąć, wielmożny panie?

Mandatarjusz. Jakto, skąd ich wziąć? — albowiem, że u nas mało chłopaków, to jest, zdatnych nosić kabin? — każ mi wynieść piwa.

Prokop (*stuka w okno do karczmy i podaje kufel z piwem*). Prawda, wielmożny panie! — ale gdzież oni? Ani jednego nie znajdziesz.

Mandatarjusz (*popijając*). Od czegoż wy, to jest, strzelcy rządowi? ¹ albowiem inni Huculi robią pańszczyznę, to jest dwanaście dni na rok, czepiają się po górach, walą jodły i robią tratwy. Wam nie potrzeba spławiać się do Kut, byleście spełniali moje rozkazy, to jest mandata. Od tego ja mandatarjusz, żebym wam kazał brać rekrutów; od tego wy strzelcy, żebyście ich zwietrzyli i wzięli. A co?

Prokop. Wszystko to prawda, wielmożny panie, kiedy chłopcy nie nie wiedzą, kiedy można na nich napasć, jak na lisa w jamie. Ale kiedy się rozbiegną po górach, pozałazą w nory jak krety, pochowają się w szpary skał, jak jaszczurki, poprzyklepiają się do jodeł jak dzięcioły, jaki djabeł ich wtenczas znajdzie?

Mandatarjusz. Skądże wiedzą, to jest, kto im powiedział?

Prokop. Któż zawsze wszystko wie, jeśli nie panowie, co do Burkutu jadą? Któż zawsze z panami, jeśli nie Antoś Rewizoreczuk? O! i dziś przyszedł z Jaworo-

¹ O strzelcach i mandatarjuszach por. w rozprawie poety: *O Huculach* (str. 31).

wa i dawaj trąbić tu, gdzie wszyscy byli, i pili, i śpiewali, że mandat już posłany.

Mandatarjusz. To jest do mnie?

Prokop. Tego on nie powiedział, wielmożny panie!

Mandatarjusz. A widzisz go, hultaj! — albowiem do kogoż miał przyjść mandat z cyrkułu? he?

Prokop. Zapewne że... Ale on ani wspomniał wielmożnego pana. Ot tak, jak gdyby tu wielmożnego pana ani było, rozpowiedział wszystkim. Moje chłopcy, widząc, że nie przelewki, dalej w nogi w góry co do jednego.

Mandatarjusz. To źle, to paskudnie. — Każ-że mi dać piwa.

Prokop (*na stronie*). Bodaj cię diabli wzięli! — Wszystko to ja zapłacę! (*głośno*) Wielmożny panie!

Mandatarjusz (*wypróżniwszy kufel*). Albowiem co?

Prokop. Tak jak on sam rozegnał sposobnych¹ chłopaków, tak niech sam idzie. U nas tu nigdy nie będzie posłuszeństwa, ani uszanowania dla starszych, póki on tu będzie. Zdarza się, że się ludzie poswarzą, poczubią tak, iżby z tego mogła się śliczna sprawka wytoczyć przed sąd wielmożnego pana. Nic z tego. Gdzie kłótnia, tam i on; przyjdzie, słowo powie i — zgoda. A czyż to jego rzecz kłótnie godzić? czy to do niego należy sądzić, czy do mandatarjusza?

Mandatarjusz. Albowiem naturalnie do mandatarjusza.

Prokop. Kiedy tu, naprzykład, ot jak dziś w niedzielę, lub we święto, siedzą przed karczmą starzy, młodzi, kobiety i dziewczki, patrzaj, niech się tylko pokaże, wszyscy na niego wytrzeszczają oczy, każdy się mu pokłoni, każdy powita. Czyż to jemu tu powinni się wszyscy kłaniać?

Mandatarjusz (*czupurząc się*). Naturalnie, że nie jemu.

Prokop. Kiedy przyjdzie gdzie którego posłać: ot naprzykład, kiedy jaki pan z cyrkułu jedzie do Burkutu i trzeba mu dać ludzi do posługi, chodzisz, wołasz, każesz, mówisz, że pan mandatarjusz kazał — nie słu-

¹ *Sposobny*: zdatny, zręczny, odpowiedni.

chają, niema, daśby.* Niechże jedzie jaki pan, jego znajomy, a on tylko piśnie, oho! dwudziestu Huculów z koźmi jawi się prędzej niż *Ojciec nasz* zmówisz.

Mandatarjusz. Hm! to on taki? — każ-że mi dać piwa.

Prokop. Dziś, naprzykład, gadał, że on jedynak, że on sobie żartuje z mandatu i z mandatarjusza.

Mandatarjusz. Niechże z mandatu, ale z mandatarjusza? O! hultaj!

Prokop. Jego koniecznie, wielmożny panie, potrzeba oddać w rekruty.

Mandatarjusz. To jest, masz racją, oddać, koniecznie oddać.

Prokop. Cóż stąd, że on jeden u matki? Można napisać, że hultaj, że rozgania rekrutów, że z Węgier kontrabandę¹ przekrada, że strażników bije.

Mandatarjusz. Że z mandatów się naśmiewa.

Prokop. Że nie słucha swojej zwierzchności.

Mandatarjusz. Że jego wszyscy słuchają, a nie mandatarjusza.

Prokop. Może wielmożny pan każe sobie dać jeszcze piwa?

Mandatarjusz. To jest, dawaj, a jego bierz. Już ja sam napiszę relację.²

Prokop. Dobrze, wielmożny panie. — Trzebaż mi się gracko zwijać, żeby go schwytać. To istny niedźwiedź; żeby czasem jego pazury nie ugrzęzły w mojej głowie.

Mandatarjusz. Idź, postępuj *caute et prudenter*,³ a ja tymczasem pójdę i trochę się położę, albowiem interesa rządowe zmęczyły mię.

(*Rozchodzą się*)

* *Daśby*, znaczy niema, to jest: teraz niema, ale później *dast Bih*. — Wyrazu tego niema w Galicji, niema na Wołyniu; zjawia się on znowu w połtawskiej i charkowskiej gubernji. (*Przypisek autora*)

¹ Z jęz. franc. *contrebande*: przemykanie.

² Z jęz. łac. *relatio*, sprawozdanie, doniesienie.

³ Wyrazy łacińskie: ostrożnie i mądrze.

SCENA II

Izba w chacie Antosia.

Marta (*stojąc we drzwiach*). Ej synu, ej Antosiu! moje ty oko w głowie!

Antoś (*wchodzi*). Co, dobra matko?

Marta (*całuje go*). Jakżem ja dawno ciebie nie widziała!

Antoś. Pięć dni, matko! Czy to tak wiele?

Marta. Dla matki pięć godzin za wiele, a ty tego nie pojmujesz. (*Uderza go zlekka po twarzy*) O niewdzięczniku!

Antoś. Matko! ja was kocham więcej, jak siebie, więcej, jak życie, więcej, jak Praksedę.

Marta. Mój ty gołąbku! moje ty złoto! ja wierzę twojemu sercu; i ty wiesz, że bez ciebie dusznoby mi było na świecie. — A jaka głowa gorąca! Siądź, mój kotku! Zmęczyleś się.

Antoś. Biegłem prędko, kochana matko! Pięć dni was nie widziałem.

Marta. A mówiłeś, że to niewiele. Widzisz, kłamco!

Antoś. Biegłem do was i do Praksedy.

Marta (*zdejmuje z niego płaszcz*). Dobra dziewczyna! Niech was Bóg błogosławi! Dajże i te pistolety; one cię gniotą. (*Wyjmuje pistolety i kładzie zdaleka na ławie*)

Antoś. Nie, matko! broń nie cięży góralowi, a topór zróśł się z jego ręką.

Marta (*odsuwa topór po ławie i siada*). Teraz ci niepotrzebny. Siądź tu, synku! połóż głowę na moich kolanach — ot tak! (*Antoś siada na niskiej ławeczce, tyłem do drzwi środkowych, kładzie głowę na kolanach matki, przymyka oczy i po chwili zasypia*) Widzisz, hultaju! pięć dni biegalesz po górach, a gdyś powrócił, pierwszej pobieglesz do karczmy, niż do domu, bo ci pilniej było widzieć Praksedę, niż mnie. A ja tak dawno głowy twojej nie czesalam, tak dawno nie całowałam

twoich kruczonych włosów! (*Bawi się jego kędziorami — w tymże czasie Prokop i inni strzelcy pokazują się we drzwiach otwartych i kryją się w cichości, oczekując chwili*) Moja ty miła główko! jabym oczy wydarła temu, ktoby cię pozbawił jednego włoska. Ale wara komukolwiek ściągnąć do tych kędziorów. Dałam memu dziecku silną rękę i śmiałe serce. Wiedzą ludzie, jaka matka cię urodziła. Kto tylko spojrzy ci w oczy, kto posłyszcy twój głos, każdy mówi: to orzeł karpacki. (*Przysłuchuje się*) Ale cóż to? — oddech jego głósniejszy — milczy — zasnęło biedne dzieciątko moje. Daj ci Boże zdrowie, moja ty pociecho! (*Nachyla twarz ku jego głowie, i objawwszy ją zlekka rękami, milczy. W tejże chwili strzelcy wchodzą cicho, opadają Antosia i krępują go sznurami. Jeden z nich rzuca się na jego broń i jej pilnuje*)

Marta (*zrywa się z krzykiem*). O wy rozbójniki!

Antoś (*potrzęsa się, oni odskakują i znowu go chwytają*). Czego chcecie odemnie?

Prokop. Pójdziesz, bratku, nosić karabin — nie więcej.

Marta. Co? karabin? memu dziecku karabin? nie doczekacie tego! Jakiem prawem, kiedy on u mnie jeden, jak jedno słońce na niebie! Oj! ty! psie gończy! tyś zawsze na niego naszczekiwał.

Prokop. Teraz już nie będę, matko! Już niedźwiedz związany, jak baran. Nie turbujcie się; będzie z niego dobry żołnierz.

Antoś. Głupcze! zawcześnie się radujesz. Nie bój się, matko! Prawo wyraźne i wszystkim wiadome; oni go nie skręcą i nie połkną. Jam jedynak — puszczajcie mnie. (*Szarpie się, ale napróżno*)

Prokop. Oho! jakiś ty rozumny, jak mandatarjusz! A tego nie wiesz, że ciebie opisali jak hultaja: żeś rozpędził wszystkich rekrutów, że przekradasz tytoń...

Antoś. Rozwiąż mi ręce i wtenczas mi to powiedz.

Prokop. Nie głupim.

Antoś. Matko! jam cię tak kochał, a tyś mi odebrała broń i topór, tyś mię ukołysała na kolanach i śpiącego w ręce ich oddała!

Marta. Ach! ja nieszczęśliwa!

Prokop. Dalej z nim! — prowadźcie go!

Marta (*rzuca się na szyję syna*). Z moich rąk nikt go nie weźmie! Czyście wy zapomnieli, że dla mnie bez niego niema dnia, niema nieba? Odważcie się odebrać go odemnie, jeśli chcecie, aby moje pazury w oczach waszych utonęły! Ja was przeklnę! — puszczajcie go!

Prokop. Puszczaj go ty sama, głupia starucho! pożegnaj się z nim; już on nie twój.

Marta. On nie mój? Chyba ta ręka, którą mię szarpiesz, nie twoja; chyba ten psi język, którym skłamałeś, także nie twój. Trzymaj się mnie, synu, trzymaj się, moje dziecko, jakieś się trzymał wówczas, nimeś przyszedł na świat. Niech nas razem wleką. Są starsi od tych hultajów, co może zrozumieją głos matki. To są psy, tam to może ludzię i uczują po ludzku.

Prokop. Ej! dosyć tego. Precz, stara czarownico! (*Odrywa jej ręce; gdy to nic nie pomaga, chwytą za włosy i odciągają. Marta pada, chce się jeszcze podnieść, on ją nogą potrąca i woła:*) Nuże, mazgaje! czego czekacie? prowadźcie go!

Antoś (*z rozpaczą*). Ha! — No, prowadźcie mnie! Ty, matko, bądź zdrowa, czekaj na mnie. (*Do Prokopa*) Ale i ty mnie czekaj — do ciebie to pewno wrócę.

Prokop. Dobrze, dobrze — obaczymy.

(*Wychodzi za nimi*)

Marta (*po chwili podnosi się na kolana*). Co się tu stało? Jak mi ciemno w oczach! (*ogląda się wokoło*) Och! wzięli go! Cóż począć? Pobiec za nimi, wydrzeć go z ich rąk? — oj! daremnie! Pójść do starszych, zawołać: oddajcie mi syna! krzyknąć tak, aby ten krzyk matki Bóg w niebie usłyszał i serca ich zmiękczył — i to daremnie! — oni wszyscy z kamienia. Przekłęte,

opłakane życie! Niema nikogo, coby się nad starą kobietą zmiłował! coby ukarał matkę, która sama swojego jedynaka w ręce zbójców oddała. Zlitujcie się! zabijcie mnie! (*pada w tył, twarzą do ziemi*)

Prakseda (*wbiega*). Matko! matko! co to ja słyszę? gdzie on?

Marta (*podnosi głowę*). Ach! gdzie on? — Teraz dopiero przychodzisz? Wtenczas trzeba było przyjść, kiedy go brali, i nie dać; trzeba było zębami przegryźć jego sznury, podać mu w ręce topór, żeby im łby rozplątał. Wzięli go, powiadam ci, związali, w rekruty poprowadzili.

Prakseda. O ja nieszczęśliwa!

Marta (*powstaje*). A, tak, teraz nieszczęśliwa! A czemuś tam koło karczmy została, czemuś myślała o tańcach? Chciałaś, żeby cię pochwalili, wtenczas, kiedy z rąk matki brali syna, kiedy tobie wydzielali kochanka i męża? Znajdziesz ty drugiego takiego, powiedz, ha? Choć nie takiego, ty może znajdziesz; dla matki tylko on był jeden i jedyny.

Prakseda (*ocierając łzy*). Cicho, matko! nie płacz! Strata nasza jest równa, ale nierówne siły. Słuchaj mię: ja ci go przyprowadzę, ja ci go oddam. Bóg mię skarze, jeśli wplotę choć jedną wstążeczkę we włosy, jeśli choć jedna paciorka będzie na mojej szyi, jeśli skosztuję choćby ziarnko soli póty, póki ci go, matko, nie wrócę, nie oddam.

Marta (*pieści ją*). Praksedo! duszko! rybko moja! moja ty śliczna czarnobrewa! O, idź, idź, odbierz go od nich. Albo nie — słuchaj! zakradnij się tylko cicho i rozwiąż jego sznury, a obaczysz, jak on ich głowy o skały roztrzaska. (*Po chwili*) O Boże mój! mnie się w głowie miesza! Wszystko to napróżno. Chodź tu, moja córko! Ty teraz moje jedyne dziecko.

Prakseda (*placząc*). Matko! jakże to było?

Marta. Ot patrzaj, jak to było! On tu siedział, a ja tak usiadłam i położyłam jego głowę na kolanach;

i pierwszej jeszcze ja sama, ja, odebrałam mu pistolety, odsunęłam tam jego topór. On biedak był zmęczony; dobrze mu było na kolanach matki, i zasnął; a oni tymczasem weszli cicho, jak dzikie koty, i orła mojego schwycili.

(*Zakrywa się*)

Maksym (*wchodzi*). Oj matko! matko! ciężka twoja bieda.

Marta. Ach! to wy, kumie? Wzięli go.

Maksym. Wiem, matko, wiem! Widziałem, jak im było pilno. Czemu prędzej okuli go w kajdany i na tratwie odprawili do Kut.

Marta. Co? w kajdany mego jedynaka? To nieprawda! Puszczajcie mnie! ja pójdę sama!

Maksym. Bóg z tobą! On już w Krzyworówni.¹ Dziś w wieczór będzie w Kosowie.² Czeremosz pełny, szumi, pieni się i poniósł bystro twego syna. Nie tobie, starucho, zbiec z jego falami. Uspokój się! I rzeki nie uprosisz, żeby się zatrzymała, i ludzi nie umodlisz, żeby rozkuli jego kajdany.

Prakseda. Matko! wujciu! posłuchajcie mnie. Ja młoda i niedoświadczona; oprócz wierzchołków gór naszych nic jeszcze nie widziałam na świecie. Ale ja go kocham. Matko! dla mnie i dla ciebie bez niego niema życia na ziemi i dlatego moja rada będzie dobra. Czego zabraknie głowie, to doda serce; bo choć tu mało, ale tu pełno; jest miłość, jest śmiałość, jest potrzeba mieć go, lub umrzeć. Matko! jam ci się zakłęta, że ci go oddam, i tak będzie; tylko mnie puszczajcie i nie mówcie nikomu, gdzie poszła. Powiedzcie, że pobiegła w góry, rzuciła się ze skały i głowę sobie rozbiła o kamienie. Ludzie uwierzą, bo wiedzą, że ja szalona, i że on wart takiej miłości. A ja tymczasem pójdę. Choć ziemia ich

¹ Por. objaśnienie na str. 41.

² *Kosów*, miasteczko powiatowe tego najdalej na południe wysuniętego powiatu Pokucia.

szeroka, ale nogi moje zdrowe i oko bystre. Ja go znajdę, i ty, matko, będziesz go miała.

Marta. Praksedo! moje ty zdrowie! o! biegnij prędko, żeby go gdzie daleko nie zabrali.

Maksym. Słuchaj, Praksedo! Serce twoje dobre, ale rozum twój krótki. Czy ty wiesz, wiele u nich ziemi? czy wiesz, dokąd go pošlą służyć? czy wiesz, jakim językiem tam mówić będą, gdzie on będzie tęsknił za matką i za tobą? wieszże ty, dziewczyno, wiele u nich ludzi nosi karabin i jak jednego między stem tysięcy wyszukać? — Oj! głupia głowo! pójdiesz i przepadniesz i nogi schodzisz i oczy wypatrzysz, i wszystko darmo. Ale chęć twoja dobra i myśl rozumna. Pójdiesz dziewczyno, ale pójdiesz ze mną. Jam ich kraje wszszsz i wzdłuż przewędrował, i wiem, jak w armji dopytać się żołnierza.

Marta. Kumie! o, Bóg wam zapłaci! Mnie tak siły opały, że wam i dobrem słowem podziękować nie mogę.

(Siada i płacze)

Prakseda. Wujciu! ty doprawdy chcesz iść ze mną?

Maksym. Oho, czym to ja cię kiedy oszukał?

Prakseda *(rzuca mu się na szyję).* Wujciu! mój złoty! mój najmilszy! o! prędszej, prędszej chodźmy!

Maksym. Chodźmy, kochana dziewczko! Bywaj zdrowa, matko! bądź cierpliwa i ufaj w Bogu.

Prakseda *(pada jej do nóg).* Matko, błogostaw!

(Marta ją żegna, zasłona upada).

AKT DRUGI

SCENA I

Izba w karczmie pod Lwowem. Wchodzi HERSZKO, ze świeczką w ręku, za nim MAKSYM i PRAKSEDA, przebrani jak miejscowi chłopi; oboje z tólmoczkami na plecach; u Maksyma za pasem topór.

Herszko. Nu, dlaczego nie można przenocować? U mnie tu różni nocują, u mnie wszyscy panowie nocują, jak jadą do Lwowa.

Maksym. Dziękujemy, panie arendarzu! Nam niewielki kącik na ławie, aby gdzie głowie trochę odpocząć.

Herszko. Ot tam sobie przysiadźcie! Chyba jak przyjedzie jaki pan, to pójdziecie do drugiej izby. Trzy dni temu pan Skarbek¹ u mnie popasał, i mówił, że nazad będzie nocował. On pojechał na imieniny do pana Aleksandra Fredra.² Ty słyszał co o panu Fredro?

Maksym. Nic, panie arendarzu, nic nie słyszałem.

Herszko. Nu, jakto? Za sto lat wszyscy będą znali pana Aleksandra Fredra, a u was o nim teraz nie gadają? Nu, skądże ty?

¹ Stanisław hr. Skarbek (* 1780 † 1848), twórca teatru hr. Skarbka we Lwowie. Skarbek, ciągle podróżując po kraju i zagranicą, dojeżdżał od czasu do czasu do Lwowa. W liście do A. Benzy z 11 kwietnia 1841 pisze Korzeniowski, że stworzył sobie o nim piękny ideał. „Dla mnie, pisarza dramatycznego, człowiek tyle poświęcający dla teatru, jest rzeczą ciekawą.“ H. Galle mylnie objaśnia, jakoby poeta miał tu na myśli powieściopisarza i historyka, Fryderyka hr. Skarbka (* 1792 † 1866); niemożliwe to z tego powodu, że Fryderyk Skarbek nigdy nie był w ówczesnej Galicji.

² Aleksander hr. Fredro (* 1793 † 1876), znany komedjopisarz.

Maksym. Ja z Berezówki,¹ cieśla, a to moja córka. Idziemy za robotą.

Herszko. I u nas może się znaleźć robotą. Czego daleko szukać roboty? Kto chce robić, zawsze znajdzie robotę; kto chce psa uderzyć, zawsze kija znajdzie.

Maksym. Ta, my to, panie arendarzu, nie lubimy próżnować.

Herszko. Kto nie lubi próżnować, tego bankocetle² lubią, i trzymają się, jak koszula ciała.

Maksym. Pan Bóg dał, panie arendarzu! głodu się nie boimy. Ot, dajcie mi dobry kieliszek wódki i zakąskę, a mojej dziewczce kawałek chleba i śmietany kaźcie przynieść. Gotować wieszczę już późno.

Herszko. Jakże nie późno? — już dziewiąta godzina.

(*Nalewa mu wódkę*)

Maksym. A stoi tu u was komenda, panie arendarzu?

Herszko. Jakto nie stoi? Kradną tak, że wszystkie kury, z jajkiem i z pierzem, ze wszystkim wezmą.

Maksym. U was tu bataljon z regimentu księcia Lichtensteina?

Herszko. Nu, tak. Major dobry człowiek; co kapitan i porucznik — niech ich djabli biorą!

Prakseda. Ach! ojczy! może on tu?

Herszko. A kto taki?

Maksym. Młody żołnierz — krewny.

Herszko. Może on tu, a może on nie tu, abo ja wiem. (*Feldfebel wchodzi*) Ot jego spytajcie, on feldfebel, to musi wiedzieć, czego wam potrzeba.

Prakseda (*cicho*). Ach! wujciu! mnie tak straszno!
(*Siada*)

¹ Wioska w powiecie buczackim koło Monasterzysk.

² Z j. niem. *der Bankzettel* = bilet bankowy, pieniądz papierowy.

Feldfelbel (*rumiany i otyły, z laską i karabinem; karabin stawia przy drzwiach*). Reb Hersz! wi gec? — hab acht — gib sznaps.¹

Herszko. Ne, ne, zaraz.

Feldfelbel. Co za ludzie?

Herszko. At, robotnik z Berezówki; on tu nocuje.

Feldfelbel (*podchodzi marszem do Praksedy i szczypie ją za policzki*). A ta poziomka?²

Maksym (*staje między nimi*). Siądźcie tu, panie feldfel! to moja córka.

Feldfelbel. Saperment!³ jak krew z mlekiem! Ładną masz córkę, kumie!

Maksym (*ciszej*). Niebrzydka, tylko nie trzeba jej tego mówić!

Feldfelbel. Żeby od czystych słówek serce się nie powalało — ist richtig.⁴

Maksym. Panie arendarzu! dajno tu za tego cwangiera dobrej wódeczki. My tu sobie z feldfelblem pociąganiem i pogadamy. — I ja to kiedyś byłem żołnierzem. Po Italji, po Węgrzech, po Tyrolu, wszędzie mię djabeł nosił.

Feldfelbel (*podaje mu rękę*). Kolega!

Maksym (*uderza*). Kolega, panie bracie! — Teraz toporem buduję chaty, a dawniej bagnetem niejedną rozebrałem.

Feldfelbel (*pokazuje laską na karabin*). Więc i to znajomy?

Maksym. Przyjaciel, krewny. (*Bierze karabin i stawia do nogi*) Ano spróbuj, czy nie zapomniałem?

Feldfelbel (*wstaje*). Hab acht! ins Gewehr! itd.⁵ (*Skończywszy mustrę, ściska Maksyma*) Nu kolega! Sa-

¹ W żargonie, którego feldfelbel używa dla okazania Herszkowi swej życzliwości = Hersz! jak ci się powodzi (*wi gec = wie gehts*), bacność — daj sznapsu.

² Prowincjonalizm = poziomka.

³ Zakłęcie, używane zwłaszcza przez żołnierzy = do licha!

⁴ Wyrazy niemieckie = Słusznie!

⁵ Wyrazy niemieckie = Bacność! do broni!

perment! siadaj, stary! — napijem się razem i pogadamy. Dawno ci dali abszyt?¹

Maksym. Latek z pięć. — W ręce wasze! — To regiment księcia Lichtensteina?

Feldfelbel. Bataljon karabinjerów.

Maksym. W swojej kompanji, panie feldfelbel, znasz wszystkich żołnierzy?

Feldfelbel. Saperment! jakieżby ja był feldfelbel? Ja tu kapitan i porucznik. Jak moje pięć palców, tak znam każdego z nóg do głowy.

Maksym. Niema tu czasem w waszej kompanji?... — ale w ręce wasze!

Feldfelbel. Dziękuję — a kogo?

Maksym. Młodego żołnierza...

Feldfelbel. U nas wszyscy młodzi. Porucznikowi, prawda, skończyło się wczoraj lat sześćdziesiąt, ale zresztą chłopcy, jak struny. Jak staną w linji, jest na co spojrzeć. — A jak się nazywa?

Prakseda (*do siebie*). Ach! Boże mój!

Maksym. Antoni Rewizorczuk!

Feldfelbel. Jest, jest.

Prakseda (*słabnie i skłania głowę na stół*). Ach!

Feldfelbel (*śmieje się*). Pewnie krewny — oj! musi być bliski krewny, saperment!

Maksym. Fe! Praksedo!

Prakseda. Nic już, nic, ojczy! — sama nie wiem, co się ze mną stało.

Feldfelbel. Potz-tausend!² on będzie wasz zięć.

Maksym. Oj! byłby, byłby, panie kolego, gdyby go byli w rekruty nie wzięli. A teraz — cóż robić? trzeba poczekać. — A dobrze się prowadzi?

Feldfelbel. Oho! to perła między wszystkimi. Chłopak czysty, równy, jak młoda brzoza. Co każesz, ledwie

¹ Z jęz. niem. (*der Abschied*: pożegnanie), tu w znaczeniu odprawa, urlopowanie z wojska.

² Zaklęcie niemieckie: do diabła.

powiesz, już zrobione. Za tydzień lepiej umiał karabiniem wywijać, jak ja! a to nie mała rzecz, saperment! Za jedno mi się tylko nie podoba.

Maksym. Nie daj Boże co złego! Czy nie pije?

Prakseda. Ach! ojcze! nie grzech-że nam?

Feldfelbel. Pfuj! nie. — Ale zawsze smutny; nigdy się nie zaśmieje, nigdzie nie wyjdzie z kwatery, tylko na służbę — ale na służbę pierwszy.

Prakseda. Biedny Antoś! — Ojcze! zapytajcie: gdzie jego kwatera?

Maksym. W ręce wasze, panie feldfelbel! Za dobre nowiny o moim przysłym zięciu pozwólcie wam podziękować. — Panie arendarzu! dajcie tu tę flaszczykę z karteczką. Co za nią?

Herszko. Jakto co za nią? — dwa cwancygiery. To rarytna¹ wódka. Ją zawsze panowie piją, jak u mnie popasują.

Maksym. Dobrze, dobrze — na. (*Daje mu pieniądze*) Panie feldfelbel! weźcie to. Przyda się czasem poczęstować gości.

Feldfelbel. Chyba że od kolegi — inaczej... Saperment!

(*Chowa flaszkę*)

Maksym. Zbieraj się, Praksedo! (*kładzie dłómaczek na plecy*) Panie feldfelbel! nie mógłbyś nam pokazać jego kwaterę?

Feldfelbel. Z ochotą — ona niedaleko od mojej, i mnie po drodze. Ale jego teraz niema w domu!

Prakseda (*przestraszona*). A gdzież on?

Feldfelbel (*śmieje się*). Widzisz, jak się przestraszyła, jakby go o pięćdziesiąt mil odkomenderowali. Bodaj to być młodym! (*uderza się po brzuchu*) Mnie już się to nie zdarzy. Nie bój się, poziomko! on niedaleko. Tylko com rozwiódł wartę, i jego postawiłem przy magazynie za miastem.

¹ Wyśmienita, przednia.

Maksym. A magazyn ten daleko?

Feldfebel. Ej! nie — tam prosto ulicą, o kroków pięćset za miastem — wielki budynek na lewo.

(Bierze karabin)

Maksym. Chodźmy, chodźmy, Praksedo!

Herszko. Ne, jakto? to już nie będziecie nocować?

Maksym. Nie, panie arendarzu!

Herszko. Nu, jakże to będzie? Do mnie byliby panowie zajechali.

Maksym *(daje mu pieniądze)*. Na, żydzie!

Herszko. Także mi waszeć gadaj.

Feldfebel. Reb Hersch! gut Nacht.¹

(Wychodzi, Maksym i Praksesta za nim)

Herszko *(zamyka za nimi drzwi)*. At! jaki mi wielki pan! tfy! *(zdmuchuje świecę i wychodzi)*

SCENA II

Wielki budynek w miejscu pustem. — Noc.

Antoś *(wchodzi, przechadzając się na warcie — potem staje i opiera się na karabinie)*. Ciemno! chłodno! Wiatr pociąga tak ostro i świeżo, jak tam na górach, których już może nigdy nie obaczę. Gdzież one? — jużem i ślad ich stracił. Nie wiem nawet, jak daleko stąd do Czeremoszu, nad którego brzegiem moja Praksesta siedzi zadumana, słucha, jak woda jego szumi, i na mnie czeka. O! nie czekaj, luba dziewczko! — ja wtenczas wrócę, gdy te fale, co mię uniosły, wrócą nazad i pod górę popłyną.² *(Przechadza się. — Po chwili:)* Tyle dni! tyle miesięcy! ani wieści od nich! — I któż mi ją miał przynieść? jak słowo pozdrowienia od matki,

¹ Wyrazy niemieckie: dobranoc.

² Fale nie mogą wrócić i nie popłyną pod górę. W ten sposób zaznacza Antoś, że nie może powrócić do stron ojczyстых.

od kochanki, mogło mię znaleźć? — Ich ziemia taka szeroka! ich wojska tak wiele! a ja jeden śród tylu tysięcy. — Darmo o tem myśleć. Trzeba służyć do końca i wrócić wtenczas, gdy matka będzie w grobie, a Prakseda żoną — nie moją. (*Potrząsa karabinem*) Ciężkiś, przyjacielu! (*Po chwili:*) Ziemia tu piękna i bogata; tu niwy takie zielone; tu na drzewach wiszą rumiane jabłka, czernieją dorodne śliwki; tu na szerokich polach stoi pszenica, jak armja, i kołysze się falami wysokie żyto; a przecież mi tu tęskno, ciasno, duszno! — Bywało, gdym stał sam jeden na wierzchołku Czarnej góry, gdym widział na dziesięć mil wokoło góry mniejsze, jak ogromne styrt² zielonego siana, gdy pod nogami mojami ciągnęły chmury, a nad głową nie było nikogo, prócz orła, który szumiał skrzydłami — o! jak mi było świeżo, jak wesoło, jak swobodnie! — Więc już nigdy nie obaczę moich jodeł? nie orzeźwię swej piersi wodą Czereмосzu? nie odetchnę powietrzem na połoninach? — Nie, to być nie może — ja tu nie umrę, ja was ujrzę koniecznie, prędko. — (*Miarkuje się*) Tak, odrzucisz broń, uciekniesz ze stanowiska — o dwie mile złapią cię i rozstrzelają — i dusza twoja przeleci nad tą ziemią, gdzieś się urodził, ale oczy twoje nigdy jej nie obaczą. Nie, bracie! nie tobie pomścić się za krzywdę matki, nie tobie otrzeć łzy z oczu Praksedy; zostaw to Bogu, a sam dźwigaj karabin, chodź wprzód i nazad tam, gdzie cię postawią, i pilnuj pańskiego dobra, póki cię nie zmieniają. Cicho! ktoś się przybliża. (*Woła głośno*) Kto idzie?

Maksym (*podchodzi z wolna, zmieniawszy głos*). Swój, panie żołnierzu! Dobry wieczór. Prędkiej zmiany żyjemy.

Antoś. Dziękuję. — Za czem tu idziecie po nocy? Tędy żadnej drogi niema.

Maksym. Mówili, że koło magazynów droga do Be-rezówki.

² Kopy, stogi.

Antoś. Nieprawdę wam powiedzieli. Idźcie sobie z Bogiem nazad. Tu nie wolno chodzić o tej porze.

Maksym. Ta, nie tacy, jak my, panie żołnierzu, robią to, czego nie wolno; jedni niechący, jak ja teraz, a drudzy umyślnie. Wam nie straszno czuwać samemu na takim pustem miejscu?

Antoś. Cóżbym to ja był za żołnierz, żeby mi było straszno.

Maksym. Zapewne przystaliście sami do żołnierzków, z ochoty. Niemcy umieją jej dodawać. Ja to sam wiem dobrze.

Antoś. Czyś służył?

Maksym. Oj! służyłem, i z tym przyjacielem (*pokazuje karabin*) znam się doskonale.

Antoś. Jeśli tak, to wiesz, że na stanowisku gawęda nie pozwala się.

Maksym. Na odwachu, prawda; ale na oddalonem stanowisku i nie w czasie wojny, czemuż nie pogadać, jeśli podejdziesz dobry człowiek, bywalec, dawny wojak, co widział góry i doliny, pola i lasy, i nad morzem bywał. Trzy godziny przestać samemu, daj go katu! ja wiem, jak to długo.

Antoś (*opierając się na karabinie*). Jakieżś to góry widział?

Maksym. Eh! jakich nie widziałem, zapytaj. Kat ich tam spamięta, jak się nazywają. Jedne tylko zostały mi w pamięci.

Antoś. Jakież to?

Maksym. Co ci o nich mówić, panie żołnierzu, kiedyś nigdy w górach nie bywał.

Antoś. Jam nie bywał? Ach?

Maksym. Co to ci?

Antoś. Nic, bracie! Pokazałeś głodnemu kawałek chleba, i nie chcesz się z nim podzielić. Dawnoż byłeś w górach?

Maksym. O! już dawno. Pięknież tam i wesoło!

Antoś. Zdrowo i swobodnie.

Maksym. Kiedy stoisz w dolinie, gdzie rzeka szumi i skacze po kamieniach, zdaje ci się, że ich tylko tyle,

ile lasu, którym obrosły ich boki. Ale wyjdźno cokolwiek wyżej, aż tu z jednej góry wyrasta druga; wydrapaj się jeszcze dalej, aż tam trzecia i czwarta podnosi, jedna na drugiej, ogromne plecy; a wleź na sam wierzchołek Krętej, i popatrz wtenczas przed siebie na Czarną...¹

Antoś (*rzuca karabin i chwytą go obiema rękami*). Co? co? kto ty jesteś? twój głos mi znajomy.

Maksym. Ja cieśla z Berezówki — ot i mój instrument. (*Pokazuje mu topór*)

Antoś (*chwytą topór i podnosi go w górę*). O! znam się z nim; zręczny — prawie taki, jak mój był niegdyś. Na! weź go sobie; idź z Bogiem i nie kuś mię. Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, gdyby mnie ten biały mundur nie cisnął i ten karabin koło mnie nie błyskał, здаwałoby mi się, że niedaleko od rodziny, tak znajomym głosem przemówiłeś do mego serca (*Rzucił mu topór pod nogi*) Idź sobie, stary, nie rozdrażniaj mię, moje piersi i tak poranione. (*Zakrywa sobie oczy, tymczasem Prakseda podchodzi i staje przed nim*)

Maksym (*właściwym sobie głosem*). Dlaczegoż myślisz, że sam tylko pamiętasz o rodzinie, a ona o tobie zapomniała? Czyż to w górach niema dobrych ludzi, którzyby ciebie pożalowali? Antosiu!

Prakseda. Antosiu!

Antoś (*odkrywa oczy, w zadumaniu patrzy długo na nich i pada przy nogach Praksedy*).

Prakseda. Wstań, mój jedyny! Bez ciebie dla mnie nie było dnia i życia. Tylem światu zbiegała, nimem cię znalazła. O! teraz jakże mi lekko i słodko!

Maksym. Antosiu! wstań, przyjdą cię zmienić.

Antoś. Nie budźcie mię.

Prakseda. To nie sen, Antosiu! ja tu, przy tobie. — Matka cię pozdrawia.

¹ Por. o obu tych szczytach objaśnienie poety do aktu I, sc. I (str. 36).

Antoś (*zrywa się*). Matka! — więc żyje? pozdrawia mię? (*Przypatruje się Praksedzie*) Ach! to ty, ty moja czarnobrewa, moja Praksesta? Chodź! połóż tu rękę! — O! co te piersi dla ciebie czują! — Ale i ty mię kochasz, nieprawdaż? — inaczej przyszłażbyś tu, tak daleko? Bóg ci to zapłaci — jam za ubogi. A ty? stary! (*Ciągnie go do siebie*) O! tyś Maksym — teraz już widzę — a wprzód uszom swoim wierzyć nie chciałem. I wy, Maksymie, w waszych latach na takąście się drogę puścili. — O! ciężki dług na mnie wkładacie.

Maksym. Matka na ciebie czeka.

Antoś. I nie próżno. Śmierć tylko mogłaby mię zatrzymać. Ona mię nie minie, ale jeszcze nie dziś i nie tu, dzięki Bogu.

Praksesta. O czym bo ty myślisz, Antosiu?

Antoś. Nie oszukuj się, Praksesto! ja wiem, co mię czeka. Uciekam z tego miejsca, gdzie mnie postawiła wola cesarska; odrzucam broń, która mi pod przysięgą dana; popełniam zbrodnię, taką zbrodnię, Praksesto, za którą prawo każe mię zabić, i każe sprawiedliwie. Wiem to, a przecież zostać tu nie mogę. Tam mię woła matka, tam woła zemsta, tam szum rodzinnych lasów i świst wiatru, który na wierzchołkach naszych wieje. — Chodźcież!

Praksesta. Ach! cóżem ja uczyniła!

Antoś. Dobrześ, dobrze zrobiła. — Dalej w drogę!

Maksym. Ej! Antosiu! a gdzie głowa? w tym mundurze chcesz uciekać? może jeszcze weźmiesz karabin?

Antoś. Cóż począć?

Maksym Precz z tym. Oto twoja odzież. —

(*Zdejmuje płócioczek*)

Antoś. Dziękuję ci — dawaj. (*Zrzuca mundur*) Bywaj zdrowa, biała skorupo, coś mię jak żółwia trzymała w swoim więzieniu. Odrzeć ciebie od ciała nie można bez krwi — niechże płynie, ale przynajmniej tam, gdzie się urodził. (*Odrzuca karabin*) Bądź zdrow, przy-

jacielu! Za to, że się z tobą rozstaję przed czasem, może mi pluniesz w oczy i łeb roztrzaskasz. Cóż robić? mnie tam woła inna powinność.

Maksym. Masz na zamianę. (*Daje mu pistolety*)

Antoś (*przypatruje się i całuje*). Moje, moje własne, Maksymie! niech ci Bóg płaci. (*Kładzie je za pas i odziewa się*)

Maksym (*daje mu topór*). I to jeszcze twój.

Antoś. Mój, mój, Maksymie! — to trzecia ręka górala. Chodźcież teraz, bo nie rano.

Maksym. Pamiętajże, Antosiu, żeś cieśla.

Antoś. Cieśla, tak — a kto zechce wątpić, potrafię go przekonać! (*Potrąca toporem, drugą ręką obejmuje Praksedę i wychodzą*)

SCENA III

Wieś Żabie. — Otwarte miejsce przy krynicy. ANNA wchodzi z wiadrami i trzyma za rękę córeczkę. — MARTA siedzi na ziemi pod skałą z zakrytą twarzą.

Anna. Czegoż chcesz?

Dziecię. Czy ojciec dziś wróci z Kosowa?

Anna. Dziś.

Dziecię. Czy ojciec nam co przywiezie?

Anna. Żeby tylko sam wrócił.

Marta (*podnosi głowę*). Dobrze mówisz, kobieto! Nie zawsze ten wraca do domu, kto z niego zdrowo wyjechał.

Anna. Marto! czemuż wy mnie straszycie?

Marta. Tyś żona Prokopa, a to twoja córka?

Anna (*stawia wiadra i tuli dziewczynkę*). Moja.

Marta. Przywiąż-że jej kamień do szyi i rzuć w rzekę.

Dziecię. Matko! jaka ona straszna!

Anna. Ach! zła kobieto! cóż ci dziecko winno?

Marta. Ona mi nic nie winna, to też ja dla jej dobra tak ci radzę.

Anna. Dla jej dobra chcesz, żebym ją utopiła?

Marta. A czemuż nie? Patrzaj na mnie, na to wyschłe lice — to od głodu; na te oczy zapadnięte i zapalone — to od ciągłego i gorzkiego płaczu; na to odzienie brudne i podarte — niema komu wyprać go, niema komu naprawić, bom ja stara i bezsilna, a sługi nie mam, dzieci nie mam — samam, sama jedna na świecie. Ja siadam nad drogą, żeby dobry człowiek przechodząc dał mi kawałek chleba, bo zarobić nie mogę, a zarobić dla mnie niema komu. I teraz siedzę tu, nad krynicą, żeby mi kto podał kroplę wody, bo wiadra nie udźwignę, a przynieść niema komu, bom sama, sama jedna na ziemi. Nie lepiejzeby mi było, gdyby mi była matka kamień do szyi uwiązała, niż teraz?

Dziecię. Matko! jaka ona biedna!

Anna (*zakrywając oczy*). Cicho! dziecię!

Marta. Tak i twoja córka. Dziś maleńka, rumiana i szczęśliwa, dziś wyciąga do ciebie rączki, i usta jej śmieją się, a choć niekiedy łzy ma na oku, ale w sercu nie ma bólu, w głowie nie ma gryzącej myśli. — Ale twoja córka wyrośnie i wyciągnie ręce nie ku tobie; zechce przycisnąć do serca śmiałego chłopca, co się jej podoba; ty pozwolisz, zaprosisz na niedzielę księdza i swatów; družki się zbiorą, posadzą dziewczynę, rozplotą jej kosę i włożą wieniec na głowę — i w tymże czasie przyjdzie taki łotr, jak twój mąż, pochwyci jej narzeczonego i w kajdanach do Kut odeśle — cóż myślisz? czy wtenczas ci córka twoja nie powie: matko! czemuś mi kamienia do szyi nie uwiązała, gdym była dzieckiem?

Anna. Ach! przestań, Marto, przestań!

Marta. Albo jeżeli córka twoja zostanie matką, jeżeli jej Bóg da syna jedynaka, a ona go wykarmi swym mlekiem, wykąpie swojemi łzami, wygrzeje swym oddechem, swoją duszą, i syn jej wyrośnie, stanie się ozdobą Karpatów, dumą wsi całej, jedyną pociechą, jedyną podporą starej matki — a wtenczas przyjdzie taki łotr, jak twój mąż, pochwyci go, w jej oczach zwiąże, ją biedną

oderwie od jedyne go dziecka i rzuci na ziemię, i potem zostawi sierotą bez pomocy, bez chleba, bez kropli wody, samą, samą jedną na świecie — cóż myślisz? nie będzie cię twoja córka przeklinać, żeś jej kamienia do szyi nie uwiązała i nie wrzuciła w rzekę?

Dziecię. Matko, chodźmy stąd.

Anna. O matko! niech wam Bóg nie pamięta, jak wy mi duszę rozrywacie.

Marta (*powstaje*). Ja tobie duszę rozrywam? — a kto mi duszę rozdarł i serce krwią zalał? Czyście wy nie zasłużyli na moje przekleństwo? O! nie pożałuję go wam. Żono zbójcy Prokopa! bądź wdową, a dzieci twoje niech będą sieroty bez koszuli, bez chleba.

Anna (*poryna wiadra*). Uciekaj, dziecię! uciekaj.

Marta (*idzie za nią*). Uciekaj, uciekaj! — wróć do domu, i zastań tam pożar, zastań zarazę w swojej obo-
rze i trupa w swojej kołysce!

(*Wychodzi za nią*)

SCENA IV

Las w górach.

Antoś (*w góralskiem odzieniu, leży pod drzewem; po chwili podnosi się i patrzy z niecierpliwością*). Jeszcze go niema? Coś stary Maksym zleniwił. Nic dziwnego: jemu nie tak pilno, jak mnie. (*Po chwili*) Mój Boże: z taką radością tu biegłem! tak mi serce biło, kiedym Prut przestąpił i zobaczył na dalekiem niebie wierzchołki gór rodzinnych! — a teraz tu przedemną moja wieś, tu ojcowska chata, tu okno, skąd mię wygląda matka, a mnie niewesoło — siedzę i czekam — na kogoż? na śmiertelnego wroga, aby mu grzech jego kawałkiem ołowiu przypomnieć. — Przeklęty los mój! — Ale cicho — ktoś idzie — to pewnie Maksym. (*Maksym wchodzi; Antoś bieży ku niemu i chwyciła go za rękę*) A co? w domu?

Maksym. W Kosowie.

Antoś. Prędko wróci?

Maksym. Dziś

Antoś. Dziś — no, dobrze. Zaczekam. (*Przechadza się. Maksym pogląda nań z niespokojnością*) Maksymie! Prakseda u matki?

Maksym. U matki.

Antoś. Idź i ty tam, dobry Maksymie! przygotujcie ją. Biedna matka, gdyby mię nagle obaczyła, umarłaby z radości.

Maksym. Słuchaj, Antosiu! jabym ci chciał coś powiedzieć.

Antoś. Ani słowa. Czy to ja dziecko i nie wiem, czego mi chcieć i co począć? Przysięgłem sobie w duszy i dotrzymam. Idź! idź, Maksymie, proszę cię! Ja tu zostanę. Stąd widno mi drogę, którą wracać będzie do domu. O! niech się porachuje z sumieniem, bo jutra dla niego niema!

Maksym. Jak sobie chcesz, Antosiu! Mnie się jednakowo zdaje, żeby lepiej było dla nas wszystkich, gdybyś mu dał pokój. — On niewart twojej kuli.

Antoś. Gdyby on był z rozkazu starszych, z woli prawa odjął mi swobodę, zabił moje młode lata, ha! znosiłbym swój los cierpliwie i nie śmiałybym go obwiniać. Ręka powinna słuchać i robić to, co każe głowa. Ale tu Prokop winien. Jego własna złość mię zabiła, jego złość wygnała mię ze wsi, włożyła na mnie kajdany, zrobiła dezterem, odebrała matkę, Praksedę, i wszystko, wszystko! Prawo cesarskie kazało, aby jeden syn został zawsze w domu i był podporą rodzicom, a oni to prawo wykęcili, zmięli, zniweczyli. Bóg przykazał szanować starych, a on chwycił za siwe włosy zgrzybiałą kobietę i rzucił ją o ziemię! — o niech się rachuje z sumieniem! jutra dla niego niema! (*Pogląda ku drodze — nagle porywa pistolety i za pas kładzie — chwytą topór i woła:*) Aha! patrzaj! powraca — i w porę. Klusem jego koń biały niesie go do domu. Śpiesz, śpiesz —

pocałuj żonę i dzieci — bo ja tuż za tobą. (*Wybiega. — Maksym idzie za nim z wolną z nachyloną głową.*)

SCENA V

Chata Prokopa.

Prokop (*wchodzi, stawia w kącie karabinek, wiesza pistolety i rzuca płaszcz*). No! chwałaż Bogu, że już człowiek w domu. Wszędzie to dobrze, a w domu najlepiej. Gdzież-to moja kobieta? Hej! dzieci! — Niema nikogo. Pewnie poszła po wodę. Kawał drogi spory, wiadra ciężkie, a ona biedaczka, jak jaka pani, taka delikatna. (*Siada*) A może gdzie i do sąsiadki na gawędę — nu, niewielki grzech, kiedy wszystko zrobiono. To tylko źle, że mi się djabelnie jeść chce, a niema komu przyrzadzić. Aha! ale otóż i ona.

Anna (*wchodzi blada i pomieszana*). Ach! Prokopie! ty już tu? (*Rzuca się na jego szyję i płacze*)

Prokop. Anno! Bóg z tobą! co ci to?

Anna. Nic, nic — teraz już łzej.

Prokop. Czegożeś się tak przestraszyła?

Anna. Mężu! mężu! podobnoś się ty czegoś złego dopuścić?

Prokop. Co to ma znaczyć, Anno!

Anna. Ach! to ma znaczyć, że nad nami wisi nieszczęście. Tylko co widziałam Martę. Straszno i boleśnie na nią popatrzeć, a jej słowa osiadają na sercu, jak kamień! Pocoś ty się wmieszał do tej sprawy? To dzieło grzeszne, Prokopie! — Ona przeklęła mnie i dzieci twoje!

Prokop. Czy tylko tyle? (*Śmieje się*) Gdzie twoja głowa, moja Anno? Było czego się przestraszyć!

Anna. Przekleństwo, mój mężu!

Prokop. Puste słowa, żono! — Gdyby przekleństwo starej baby mogło się zamienić w proch i kule, powiedziałbym: źle, strzeż się! — a teraz śmiej się z tego, lub jeśli ci jej żal, płacz sobie z nią, a mnie tymczasem daj co jeść, bom głodny i zmęczony.

Anna (*nakrywając stół w tym kącie, gdzie stoi broń Prokopa*). Ach! to przekleństwo matki, mój mężu! — Ono straszniejsze, niż proch i kule. I ja matka, i czuję to, żebym póty nie przestała wołać, pókiiby Bóg nie ukarał tego, co mię skrzywdził.

Prokop (*siada za stołem*). No, dosyć tego — dawaj jeść. — Wszystko mi się udało; sprzedałem wełnę, sprzedałem bryndzę, drożej jak inni. Dla pana mandatarjusza przywiozłem baryłeczkę wina, która mię prawie nic nie kosztuje. Wszystko zapłacili nasi ludzie, a ja oddam od siebie. To-to nazywa się umieć chodzić koło swoich interesów! Pan mandatarjusz jest osieł, choć czasem i po łacinie gada. Gdzie jemu rozplątać moją siatkę? Ja teraz tu rozgospodaruję się, a on w mojem ręku będzie tylko miotłą, którą stąd wymiotę każdego, co mi się nie podoba, jak śmiecie z podwórka. Ale czegoś ty tak nos spuściła na kwintę? he?

Anna. Nic, nic — słucham, co mówisz; a na sercu coś ciężko i oczy chcą płakać.

Prokop. Mówiłem ci, żeś głupia. — No, chodź, pocałuj mię i przynieś mi śmietany, jeżeli jest, żebym się trochę orzeźwił.

Anna. Zaraz — mam świeżą. (*Bierze z półki miskę, łyżkę i wychodzi w boczne drzwi*)

Prokop. Że też tej baby djabli wziąć nie mogą! tak mi kobietę przestraszyła! Przeklęta czarownica! Wyforuję ja ją prędko! (*Antoś wchodzi średniemi drzwiami i staje*) Któż tam znowu? Cóż? nie odzywasz się? Kto? (*Ogląda się przestraszony*) Ha! to ty!

(*Zrywa się, chcąc chwycić za pistolet. Antoś strzela i Prokop pada bez życia*)

Anna (*wbiega przelękniona*). Co się tu stało? Kto ty jesteś? — Ach! to syn Marty! (*Bieży do męża i przykłęka przy jego zwłokach*)

Antoś. Ja — syn Marty, a ty — wdowa.

(*Chce wychodzić i spotyka we drzwiach Maksyma; za nim wchodzi Marta i Praksesta*)

Maksym (*patrzac na trupa*). Za późno!

Marta. Synu! synu! tyś wrócił i do mnie nie śpieszysz? pierwej tu przyszedłeś?

Antoś. Miałem tu pilniejszą robotę — spojrzuj tam, matko!

Marta. Nie żyje!

Antoś. Ten, co cię rzucił na ziemię, co cię nogą potracił, nie żyje, i wdowa jego nad nim płacze.

Marta. Sprawdziło się więc moje przekleństwo! Bóg wysłuchał prośb matki i wrócił mi syna, który pomścił się za moją krzywdę! — Chodź! uściskaj mię, moje dziecię! Żebyś ty wiedział, jak mię oni męczyli, nim mi powiedzieli, żeś wrócił. Kłamali, żeby serce matki nie pękło ze zbytnej radości. Ach! ono od smutku zeszło, wywiędniało od płaczu! Ty tylko możesz mi dać radość i życie. Chodź tu, moja pociecho jedyna!

Antoś. Nie, matko, nie na radość, nie na pociechę twoją wróciłem! — wróciłem tylko pomścić się za twoją krzywdę!¹

Marta. Boże mój! co ty mówisz, synu?

Antoś. Rzeczy proste, moja matko, które i ty sama pojmiesz. Jestem dezterter i zabójca. Dla mnie niema pokoju, niema przytułku między ludźmi, i dla ciebie niema pociechy, niema radości. Wydarto mnie tobie prawnie, i ja sam wrócić się tobie nie mogłem. Nie masz już syna, matko! Wrócił tylko mściciel twej krzywdy. (*Bierze za rękę Praksestę*) Oto twoje jedyne dziecię. Ona cię będzie szanować i do ostatniej godziny strzec i służyć.

Marta. A ty? a ty?

Antoś. Ja, matko, muszę dla siebie szukać schronienia.

¹ Por. do tego miejsca ustęp w rozprawie poety *O Hucutach* (str. 32).

Marta. Tamże dom twój, synu!

Antoś. Dla mnie niema domu. Mój dom — jaskinie
i puszcze, a moi krewni — zbrojcy!

(Wychodzi, Maksym za nim)

Marta *(w osłupieniu)*. O! ja nieszczęśliwa!

Prakseda *(przyklęka i obejmuje jej kolana)*. Biada
nam!

Anna *(podnosi się)*. Biada wam!

(Zasłona spada)

AKT TRZECI

SCENA I

Przed chatą Antosia. Noc. PRAKSEDA siedzi pod drzewem, koło niej stoi ANTOŚ.

Antoś. Nie płacz, Praksedo!

Prakseda. Jam ciebie zgubiła!

Antoś. Nie ty, biedna dziewczyno! nie dla ciebiem tu wrócił. Czy matka śpi?

Prakseda. Usnęła. Długo na ciebie czekała. Codziennie siedzi w tem oknie, wygląda cię, wygląda, póki ją siły nie opuszczą i sen nie zmorzy.

Antoś. Biedna matka! wychowała mnie, wypieściła, żebym był pociechą, podporą; a jam — rozbójnik!

Prakseda. Serce twoje czyste.

Antoś. Ale ręka moja zakrwawiona cudzem życiem, zawalana cudzem dobrem.

Prakseda. My ciebie tak kochamy, Antosiu!

Antoś. Tem gorzej dla mnie. Wolałbym, żebyście pomarły. W grobie nikt się nie wstydzi za syna, ani za kochanka. Ja wtenczas byłbym swobodnym: z jednej góry szedłbym na drugą, z jednego kraju w drugi¹; mściłbym się okrutnie waszej krzywdy i mojej na ludziach złych, na nieludzkich bogaczach. Drżeliby przed zbójcą, którego można powiesić, ci wszyscy zbójcy, dla których prawo nie naznacza szubienicy.

Prakseda. Ty pragniesz naszej śmierci?

Antoś. Ja pragnę waszego pokoju. Ale co już o tem próżno mówić? Muszę pośpieszać. Bądź zdrowa, Pra-

¹ Ma na myśli Galicję i Węgry.

ksedo! Teraz na mnie polują, jak na niedźwiedzia. Wczoraj niedaleko ścieżki leżałem za kłoda, kiedy przejeżdżał komisarz z Kut, a za nim strażnik. Słyszałem ich rozmowę. Znaczny oddział wojska nas ściga. Już znają naszą kryjówkę; trzeba nam poszukać innej.

Prakseda. Gdyby nie matka, poszłabym z tobą.

Antoś. Nie, Praksedo! Tyś nie na żonę opryszka. O! wiele razy patrzę na tę chatę, gdzie się urodziłem i wychował, zawsze ciśnie się do mojej głowy to, com sobie wtenczas myślał, gdym ciebie pokochał. Ty miałaś tu być gospodynią, na tym progu miałaś mię czekać wracającego z każdej drogi, z każdej roboty; tu ja miałem uczyć twojego syna biegać po górach, ścigać sarny, ścinać toporem najwyższe gałęzie, być uczciwym i śmiałym, bać się tylko Boga i prawa — o! Praksedo! i to wszystko przepadło!

Prakseda. Antosiu! przestań! Mnie się w głowie miesza. O! biada mi!

Antoś. Biada ci! biedna dziewczyno! — tobie już nie iść zamąż; tyś była narzeczoną rozbójnika!

Prakseda. Weź mię: ja będę twoją żoną i z tobą razem zginę.

Antoś. Nie, Praksedo! zdejm z palca tę obrączkę, która cię ze mną wiąże. (*Zdejmuje ją*) Na znak rozwodu i wiecznego rozstania, rzucę ją w najgłębsze miejsce Czeremoszu. Ja teraz mam inną żonę. Ona wkrótce obejmie moją szyję cienką i giętką ręką, i trzymać będzie w swoim objęciu poty, póki mi kruki oczu nie wykołają. Moja żona — szubienica.

Marta (*z chaty*). Praksedo!

Antoś. Słyszysz? (*Ścisła ją gwałtownie*). Póki ten głos nie umilknie na wieki, żyj, o! żyj, moja Praksedo!

(*Szybko wychodzi*)

Prakseda. Ja zwarzuję! Sama nie wiem, co się ze mną robi. Gdzie jestem? Ktoś mię wołał. — Kto?

(*Ogląda się dziko*)

Marta (z chaty). Praksedo!

Prakseda. Aha! to ty! Idę, idę. (Wychodzi)

SCENA II

*Miejsce dzikie wśród skał i lasów. Na ściętym pniu pali się
ogień. OPRYSZKI w różnych grupach. Noc.*

Jeden z opryszków (stoi na przodzie z czarką w ręku
i śpiewa)

Hej! bracia opryszki! doleście do czarki,
Do ognia przyrzucicie tu drew,
Nastrojcie mi gardło odgłosem fujarki —
Wesoły zaśpiewam wam śpiew.

Bezpiecniśmy, póki na ziemi zielono
I liściem okrywa się las;
W gęstwinach i krzakach, za kłodą zwaloną,
W gałęziach nie znajdzie nikt nas.

Jak ptakom drapieżnym, nam skały gospody;
Tam śpijmy spokojnie do gwiazd;
Gdy noc się nasunie na ludzi, na trzody,
My z naszych spuszczaemy się gniazd.

Barany z połonin nam dają pieczenie,
Jest wódka, gdy przyjdzie myśl zła,
Pieniędzy dostarczą podróźnych kieszenie,
Buziaka Hucułka nam da.

Tytoniu przyniesiem z węgierskiej granicy,
Tam zwiążem strażników za łby,
Odzieży dostaniem z żydowskiej kramnicy¹
I żyda przykujem do drzwi.

Gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy,
Tam dla nas forteca i dom!
Nie straszny nam Niemiec, gdy głodu nie znamy,
Nie straszna nam słońca i grom.

¹ Kram.

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!

Niedługo pozwolą nam żyć:

Gdy śniegi nas zdradzą, na sznurku zaśniemy,
Ni śpiewać nie będziem, ni pić¹.

Wszyscy. Weselmyż się bracia, dopóki możemy *itd.*

Pierwszy opryszek. Do, wszystkich tysięcy djabłów! przestańcie o tym przeklętym śniegu! Śnieg biały i Niemiec biały²; ja ich równie nienawidzę. Po śniegu białym Niemiec biały śladem pójdzie za nami, i jak niedźwiedzi nas wytropi.

Drugi opryszek. Porzuć! — jeszcze do tego daleko. Dziś z czarką w rękę, jutro obejmiesz ładną Hucułkę, a pojutrze sznurek ciebie obejmie.

Trzeci opryszek. A cóż? to wesoło!

Czwarty opryszek. Nie żyć-że człowiekowi do stu lat?

Piąty opryszek. Lepiej jedno lato, jak orzeł, niż sześć, jak baran. Tu cię kula dogoni — upadniesz między skały, i basta — przynajmniej nie wiążą cię i co roku nie strzygą.

Szósty opryszek. Tu możesz pozwolić duszy pohulać. Nikt ci tu nie powie: to rób, a tego nie rób; to można, a tego nie można; to sąsiedzkie, a to pańskie. — Miljon set djabłów! a cóż moje?

Czwarty opryszek. Tu wszystko moje! co mogę wydrzeć. Mam pełne kieszenie — biorę mało; mam puście — biorę wszystko i basta.

Trzeci opryszek. A czasem się i ucieszysz porządnie. Trzy dni temu, ot z nim, leżeliśmy w trawie na samej węgierskiej granicy. Aż patrzymy — jedzie żyd. Jedzie, i pomrukuje, i ogląda się. A nas z trawy nie widno. Aż on krzyknął raptem: stój — a bestja żyd, jak worek plewy, buch na ziemię! On konia za cugle, a ja żyda za pejsy. — A co ty, bratku, wiesz? dawaj

¹ Por. o tej pieśni uwagi we Wstępie.

² Por. uwagę na str. 43.

cwancygiery! — Żyd zębami dzwoni, a ja mu toporek do szyi.

Piąty opryszek. I zarznąłeś?

Trzeci opryszek. Fe! naco rznać tchórza? Jego własny strach gorzej kole, jak nóż opryszka. Jemu pluń w oczy, to on myśli, że kula, i djabli go biorą.

Drugi opryszek. I cóżeś zrobił?

Trzeci opryszek. Ot! naśmiałem się do woli. Żyd siadł na ziemi, zaczął mię ze strachu łać, a potem krzyceć: — aj waj! ty gałganie, opryszku! naco to mnie zarznąć? Co to za głupstwo! Ja tego nie wytrzymam!

(Śmieją się)

Pierwszy opryszek. I puściłeś go tak?

Trzeci opryszek. Ej! nie. — On wziął co lepsze towary, ja wziąłem pieniądze, oberznałem mu pejsy i dopiero puściłem.

Pierwszy opryszek. A wiele wziąłeś?

Trzeci opryszek. A tobie co do tego?

Pierwszy opryszek. Co do tego? milion djabłów! To właśnie i źle, że u nas każdy na swoją rękę rabuje.

Trzeci opryszek. Trzeba ci pieniędzy, to ci dam, ale tyle, ile mnie się podoba.

Pierwszy opryszek. Żebym ja był waszym naczelnikiem, tobym cię za to kazał powiesić.

Trzeci opryszek (*podnosząc toporek*). Nim ty mię każesz powiesić, ja ci mogę uszy obciąć.

Maksym (*który dotąd siedział w myślach, podnosi się*). Milczeć! bo was każę związać obudwóch. — Hej! czy wszyscy są?

Trzeci opryszek. Kuźmy niema i Michajła.

Maksym. A Cygan gdzie?

Piąty opryszek. Ten złodziej śpi ze wstydu.

Drugi opryszek. Cóż mu się zrobiło?

Piąty opryszek. Na drodze do Burkutu spotkał Huculkę z Krzyworówni, która panom nosiła masło. Żwawa dziewczka, mojego wzrostu, rumiana i czarnobrewa. My

tam obaj leżeliśmy w wierzchowinie,¹ i czekali, czy się co nie trafi. Dziewka idzie i śpiewa. Mój Cygan do niej, i nuż prosić, żeby go pocałowała.

Kilku. Paskudnik!

Piąty opryszek. Dziewka to i zmiarkowała, że Cygan paskudny i tchórz, nibyto pozwala. On się tam do niej przysunął, a ona mu tymczasem toporek z ręki i pistolet z za pasa, i dawaj kurek odwoździć i mierzyć Cyganowi prosto w łeb! a mój Cygan w nogi, a ja w śmiech.

(Wszyscy śmieją się)

Szósty opryszek. A dziewczka?

Piąty opryszek. Plunęła za nim, wzięła pistolet i topór, i poszła spokojnie.

Czwarty opryszek. Tęga! czemużeś jej do nas nie zawerbował? *(Słychać wystrzał)*

Maksym. Co to jest?

Pierwszy opryszek. Może Niemcy.

Drugi opryszek. Tobie tylko Niemcy śnią się. Poczekaj do zimy, to ci siądą na karku; a teraz co nam zrobią? To pistolet Antosia.

(Za sceną:)

Hop! hop! hop!

Trzeci opryszek. To nasi. *(Wchodzi Kuźma i Michałło i prowadzą Mandatarjusza z zawiązanemi oczyma)*
A to co za ptaszek?

Maksym. Odwiążcie mu oczy. — Eh! pan mandatarjusz! — to ty!

Mandatarjusz *(drżąc)*. Al... al... bowiem ja — Magnanimi Opriscones! misereamini!² *(Śmieją się)*

Pierwszy opryszek. Co on bełkocze?

¹ w zaroślach.

² Wyrazy łacińskie (przyczem wyraz *opriscones* wymyślony przez mandatarjusza, który za mało zna łacinę, skoro nie wie co znaczy: zbóje) = Wielkoduszni opryszkowie, zlitujcie się!

Mandatarjusz (*składając ręce*). Piąte: nie zabijaj — szóste: nie cudzołóż — siódme: nie kradnij! — Jeszcze siódme i szóste... można i tak i siak — ależ piąte, — piąte strzeżcie się... albowiem...

Maksym. Czemu ty, bratku, nie powtarzałeś sobie tych przykazań tam w twojej kancelarji?

Mandatarjusz. Albowiem zawsze powtarzałem, to jest, codzień.

Maksym (*groźnie*). Kłamiesz.

Mandatarjusz (*przypada na kolana*). Mea culpa!¹

Maksym. Jakżeś się tu popadł?² he!

Mandatarjusz. Albowiem śród białego dnia, to jest, najniesprawiedliwiej. Spoczywałem na Krętej, i czterech Hucułów ze mną.

Trzeci opryszek. A dwóch ciebie wzięło.

Mandatarjusz. Zdrada — piekielna zdrada! Dwaj z moich poszli do rzeki, a dwaj położyli się spać. Albowiem wtenczas ci hulają...

Kuźma. Ach! ty złodzieju!

Mandatarjusz. Albowiem pozwólcie mówić. Ja krzychałem, a moi spali; ci mnie wiązali, a moi spali; ci mnie poprowadzili, a moi spali — albowiem wszyscy szelmy są.

Maksym. Zasłużyłeś na to bratku!

Mandatarjusz. Albowiem pamiętajcie, co to jest rząd —, że to nie są żarty. Rozbijać, to wy wiecie — a mandata, to ja wiem. — A sztandrecht³...

(*Wszyscy śmieją się*)

Maksym. Pokażcie mu sztandrecht.

Kilku. Sznurka! sznurka!

Mandatarjusz. Zmiłujcie się! — sznurek dla mandatarjusza? (*Śmieje się*) Nie żartujcie, albowiem to nieładnie.

¹ Z jęz. łac.: moja wina.

² *Popaść się* w znaczeniu: dostać się, znaleźć się.

³ Z jęz. niem.: sąd wojenny.

Trzeci opryszek. Może wolisz topór?

Mandatarjusz (*placze*). Dobrzy ludzie! albowiem ja was zawsze tak serdecznie kochałem.

Czwarty opryszek (*przykłada mu pistolet do piersi*). Toż ci i podziękujemy.

Mandatarjusz. Zginałem! (*Szepce*) — Pater noster, qui es in coelis...¹

Antoś (*wchodzi szybko*). Co to jest?

Maksym. Kuźma i Michajło złapali na drodze do Burku-tu ot tego tu panicza. Przypatrz mu się — to twój znajomy.

Antoś. Podnieś głowę, tchórz!

Mandatarjusz (*pogląda ze strachem*). Aktualnie² zginałem... Dominus Antonius³ Rewizorczuk.

Antoś. Któregoś osądził burzycielem spokojności, kontrabandzistą⁴, buntującym Huculów, i za to mnie, jedy-naka, przeciwko prawu oddałeś w rekruty, zrobiłeś dezert-terem, a potem rozbójnikiem? — Coś posiał — zbieraj! jakieś piwo nawarzył, takie pij teraz! — Na gałąź!

Mandatarjusz. Pozwól mi się pomodlić.

Antoś. O! i ja modliłem się niegdyś! Choć prosty chłop, ale umiał się modlić, bom się urodził i wycho-wał tu, gdzie wszystko wielkie mnie otaczało; gdzie każde drzewo, każda skała, każdy wierzchołek w chmury schowany, uczyły mię wielkości i miłosierdzia Tego, co to wszystko potworzył. — A wyście mi i to dobro od-jęli; ja teraz nie mogę się modlić, ja nie śmiem pod-nieść do nieba ręki, bo na niej krew! — Precz z nim na gałąź. (*Mandatarjusz chyli się i pada zemdlony*)

Maksym. Antosiu! podobno obejdzie się bez sznurka. Zadławiłeś go słowami.

Antoś (*przypatruje się*). Omdlał ze strachu, podły tchórz. Podnieście go. Jak się trzęsie nikczemnik! Precz

¹ Wyrazy łacińskie: Ojciec nasz, który jesteś w niebiosach.

² istotnie, rzeczywiście.

³ Wyrazy łacińskie: Pan Antoni.

⁴ Z jęz. franc.: noszący przez granicę kontrabandę (to-wary przemycane), przemytnik.

z nim! Zawiązać mu oczy i wyprowadzić gdzie na błędną ścieżkę, niech tam przepada. Nie wart sznurka, na którym ginie śmiały opryszek. (*Dwaj odprowadzają go*)
 Hola, chłopcy! do mnie! Naostrzyć topory; kule i proch niech każdy ma pod ręką. Tę naszą kryjówkę już znają.

Pierwszy opryszek. Miljon set djabłów! nie mówiłem?

Drugi opryszek. Cicho! — Skąd wiesz, Antosiu?

Antoś. Wiem — sam słyszałem. Trzystu ludzi posłali w różne strony. Wszyscy strzelcy, jak psy gończe, nas tropią. Komisarz z Kut jest z tym oddziałem, który tu na nas idzie. Ma moc w rękę i groźny papier za pazuchą. Kogo złapią — na szubienicę.

Trzeci opryszek (*śpierna*).

Weselmyż się bracia, dopóki możemy:

Niedługo pozwolą nam żyć;

Dawajcie tu wódki, nim w taniec pójdziemy,

Już jutro nie dadzą nam pić¹.

Kilku. Wódki! wódki tu!

Antoś. Wara! ani kropli! Łeb rozplątam temu, kto sięgnie do flaszki! Milczenie! — Z tej kryjówki dziś precz! Rozbierzcie obóz, każdy na siebie po równej części; chleb, proch i kule — reszta w ogień, w wodę. Od Czepczyna² na prawo i na lewo, nie dalej jak na milę od granicy, skryć się na węgierskiej ziemi. Po dwóch, po trzech, nie więcej, siedzieć w niedostępnych miejscach — Co to mamy dzisiaj?

Maksym. Piątek.

Antoś. Sobota, niedziela, poniedziałek, żeby żaden nie śmiał nosa pokazać ze swej kryjówki! Słyszycie?

Wszyscy. Mów! mów!

Antoś. We wtorek o północy, kogo nie złapią i nie powieszą, niech będzie na Czarnej górze. Z głębi jeziora, niedaleko brzegu, sterczą dwie jodły.

¹ Powtórzenie dwóch wierszy ostatniej zwrotki pieśni opryszków (por str. 74); dwa ostatnie brzmią odmiennie.

² Por. objaśnienie poety na str. 40.

Kilku. Wiemy, wiemy.

Antoś. Naprzeciwko nich, od węgierskiej granicy pod górę, idzie ścieżka między skałami. Ujdziecie nią dwieście kroków. Na prawo będzie kamień, na którym znajdziecie starą płachtę. Kamień ten odwalić, tam będzie pieczara, i w niej ja was czekać będę. — A teraz co żywo zbierać się! — *(Opryszki zbierają się; zostają na przodzie sceny Maksym i Antoś)* O! doprowadzili mnie do ostateczności! Ha! cóż robić! bronić się trzeba! Maksymie, jeśli nam się uda we wtorek zebrać w pełnej liczbie...

Maksym. Cóż zrobisz?

Antoś. Gdy nas Niemcy będą szukać tu, my im tam — za plecami... *(Słychać wystrzał)* Co to jest?

Maksym. Pewnie który mandatarjusz poczęstował.

(Wystrzał drugi, dalej trzeci)

Antoś. Och! to karabin! — do broni, chłopcy!

Trzeci opryszek *(wraca raniony)*. Niemcy! Niemcy naokoło! — uciekajcie! *(Pada i kona. Nowy wystrzał ubija przy Antosiu stojącego opryszka)*

Antoś. Rzućcie wszystko, i dalej w różne strony! *(Wystrzał rani Antosia.)* Oho! znalazłaś mię, przyjaciółko! Maksymie! dalej do matki, do Praksedy! — biegnij, bo ja nie mogę. *(Przypada na kolana. — Opryszki rozbiegają się. Wystrzały z różnych stron. Dwóch jeszcze pada na scenie, którą napelniają żołnierze i okrażają Antosia. Po chwili wchodzi komisarz, oficer i za nim mandatarjusz. Żołnierze przyprowadzają kilku schwytyanych opryszków)*

Komisarz. Panie poruczniku! każ jeszcze raz obejrzeć wszystkie kryjówki dokoła. Znam ja ich dobrze. Niejeden pewnie tuż przyczepił się do drzewa, lub przylgnął do skały.

Porucznik *(do feldfebla)*. Weź dwudziestu ludzi, i przetrząść naokoło wszystkie miejsca podejrzane! Trupów precz! *(Zwlekają ich na stronę)*

Komisarz. Wielu złapano?

Oficer. Raz, dwa, trzy... pięciu wszystkich.

Komisarz *(do więźniów)*. Kto wasz naczelnik?

(Wszyscy milczą)

Mandatarjusz *(występuje i ukazuje na Antosia)*. Hic est¹ — albowiem znam go dobrze.

Komisarz. Opatrzyć jego ranę. *(Podnoszą go i obwiązują)*

Mandatarjusz *(podchodzi zuchwale)*. Zbójca! to jest, rozbójnik! Łotr! to jest, hultaj! — Na gałąź, to jest na szubienicę! Albowiem Boga w sercu nie ma. Poburzał przeciwko starszym młodszych, przekradał kontrabandę, bił strażników, dezertował z regimentu, zebrał szajkę rabusiów. Albowiem na wołowej skórze nie spisałby jego przestępstw. *(Podsuna się bliżej)* Łotr! rozbójnik! opryszek!

Antoś *(z uśmiechem)*. Żabo! skaczesz teraz na pochyłe drzewo. Tak to mi dziękujesz, żem cię nie kazał powiesić! — Panie komisarzu! gdybyś był widział przed godzinką tego tchórza, jak walał się u nóg moich, jak wytarty krejcar, wstydziłbyś się z nim razem znajdować i pozwalać, aby on przy tobie śmiał gębę otworzyć

Mandatarjusz. Albowiem nowy dowód zuchwalstwa

Komisarz *(groźnie)*. Milez waćpan. *(Mandatarjusz skonfundowany odchodzi na bok)* Ty byłeś ich naczelnikiem?

Antoś. Ja.

Komisarz. Wielu miałeś w swojej szajce?

Antoś. Odpowiadać będę tylko na to, co się mnie tyczy.

Komisarz. Jak się nazywasz?

Antoś. Antoni Rewizorczuk.

Komisarz. Więc to ty zabiłeś strzelca Prokopa w jego własnym domu?

Antoś. Ja.

¹ Wyrazy łacińskie = ten jest.

Komisarz. Jaki miałeś powód?

Antoś. Szarpnął za włosy moją starą matkę, rzucił ją na ziemię i potracił nogą.

Komisarz. Dlaczegożeś dezerterował?

Antoś. Żeby go zabić.

Komisarz. Dlaczegoś potem został rozbójnikiem?

Antoś. Dziwne pytanie! cóż miałem robić?

Komisarz. Czyś się spodziewał, że tym sposobem twoja zbrodnia zostanie bez kary?

Antoś. Bynajmniej — chciałem ją tylko przewlec, aby nie dobić starej matki. Po jej śmierci chciałem się oddać w wasze ręce sam.

Komisarz. Czyś jeszcze kogo zamordował, oprócz Prokopa?

Antoś. Wczoraj, przed samem południem, koń twój, panie komisarzu, wychodząc z Czeremoszu, potknął się tak, żeś mało nie upadł przez głowę.

Komisarz (*zdziwiony*). No i cóż dalej?

Antoś. Wjehawszy na ścieżkę, zląłeś na ziemię, usiadłeś na kłodzie i kazałeś strażnikowi poprawić siodło.

Komisarz. Jako? tyś mnie wówczas widział?

Antoś. Byłem od ciebie, panie komisarzu, o kroków dzieścię, i słyszałem, coś mówił. Czy chcesz, żebym ci powtórzył?

Komisarz. Dostyc — wierzę ci.

Antoś. Jeżeliś więc wówczas nie zabił ciebie, któryś miał przy sobie rozkaz mię powiesić, dlaczegoś pytasz, czym jeszcze kogo nie zamordował, oprócz Prokopa?

Komisarz (*do siebie*). Dziwny człowiek! (*Głośno*)
Czy masz co na swoją obronę?

Antoś. Nic nie mam — jestem zbieg, morderca i rozbójnik.

Komisarz. Czy wiesz, co cię czeka?

Antoś (*z pokorą*). Wiem — szubienica.

Komisarz. Za dwadzieścia cztery godzin, niebożę! ¹
(*Po chwili*) Tymczasem nie masz — że o co prosić?

¹ Por. artykuł Korzeniowskiego: *O Huculach* (str. 32).

Antoś. Panie komisarzu! droga do Kut prowadzi koło mojej chaty. Pozwól mi tam odpocząć kwadrans, popatrzeć jeszcze na ten dach, pod którym się urodziłem, posłuchać szumu tego dębu, pod którym skakałem codzień, gdym był chłopcem niewinnym i szczęśliwym.

Komisarz (*wzruszony*). Chodź, chodź! — (*Do oficera*) O, cobym dał za to, żeby go można ocalić! — Idźmy.

Oficer (*do żołnierzy*). Otoczyć ich — wy po pięciu w równych dystancjach¹ — ostrożnie — broń na ramię — marsz! (*Wychodzą*)

SCENA III

Miejsce nad samym Czeremoszem. — Zdaleka widać wieś. — MAKSYM wchodzi i siada na kamieniu; z przeciwnej strony jeden z opryszków skrada się ku niemu i bierze go za rękę.

Opryszek. Maksymie! was nie złapali?

Maksym. I źle zrobili.

Opryszek. Ja uciekam na Wołoszczyznę.²

Maksym. Idź z Bogiem, a ja zostanę tu.

Opryszek. Już przyprowadzili ich do wsi. Tam żołnierzy jak śniegu. Uchodźcie, bo was schwytają.

Maksym. I powieszą — ot wielkie nieszczęście! Jest przed czem uciekać? Nasze życie, bracie, nie takie, aby je warto było ochraniać.

Opryszek. Oj! bieda! bieda! — Ale cóż to za dziewczka z rozpuszczonemi włosami do nas idzie? — Boże mój! jaka straszna!

Maksym. Nieszczęśliwa! pokochała go, jak swoją duszę; biegła za nim mil sześćdziesiąt; przyprowadziła nazad starej matce, była jej córką, jej sługą. Przyszedłem, powiedziałem jej: Praksedo! Antosia złapali Niemcy

¹ Z jęz. franc. *distance*: odległość, oddalenie, odstęp.

² Nazwą Wołoszczyzny oznaczano dwa kraje wołoskie: Mołdawję i Multany.

i jutro powieszą. Krzyknęła, objęła głowę rękami, jak obręczą, żeby nie pękła, bladeść śmiertelna zsunęła się na jej twarz, jak para na szkło, kiedy chuchniesz — i odtąd spokojna. Nie śmieje się i nie płacze. Życie jeszcze w niej zostało i oczy otwarte — ale duszy już niema w tem ciele. — O! żal mi, żem jej nie ubił tem słowem, tak jak tam starą Martę.

Opryszek. Ach! biedna! — patrz, dokąd ona idzie?

(Prakseda wchodzi z wolna — patrzy na nich — potem odwraca się i idzie dalej)

Maksym. Praksedo!

Prakseda *(zatrzymuje się)*. Skąd wam to przyszło do głowy? — to już bardzo dawno, kiedy orzeł schwycił na cmentarzu kość i zaniesie na Czarną górę, a ona tam pobieleje od wiatru i śniegu — wy przyjdziecie, popatrzycie i powiecie, że to Prakseda. Jakże to można poznać? — Lepiej idźcie tam, gdzie was prosili. Tam już gości poszło dużo, a wszyscy czysto i biało ubrani. I Marta ich czeka i was czeka. Ona tam leży na tapczanie na środku izby, zimna i twarda. W głowach jej palą się dwie świece, a w nogach siedzi stara kuma i płacze. I tak potrzeba. Kiedy w cerkwi dzwonią i grabarz stoi z łopata, to ludzie śmieją się, a kiedy dziewczynę ubierają do ślubu, to ona płacze, i matka płacze, i drużki płaczą; a przecież to wesoło. Idźcież i wy — i wam tam będzie wesoło. I ja zaraz przyjdę. Kwiatków już tam nazbierałam dużo; mam koszulkę białą jak śnieg i spodniczkę czerwoną, jak krew — tylko jeszcze piotłunu narwę i wianuszek sobie zrobię — śliczny wianuszek!

Opryszek. Biedna!

Maksym. Nieszczęsna Praksedo!

Prakseda. Co bo wy gadacie o Praksedzie! Praksedy już niema. Ona kochała Antosia — jego złapali i powiesili, a ona biedna umarła. To już dawno.

Maksym *(pasuje się z sobą)*. Ha! zostawić ją w takim stanie na pośmiewisko ludzkie? — Nie — Praksedo!

Prakseda. Prakseda była bardzo biedna. Ona go tak kochała! i lepiej zrobiła, że umarła. Pocóż jej było żyć na ziemi? — Jej nie to, co mnie. Mnie tu dobrze, mnie tu tak wesoło! bo kiedy człowiek nie głodny, to czegoż więcej potrzeba? — Jakem była na tamtym świecie, to mi mówili, że tu źle, że tu płacz i zgrzytanie zębów. Jaka nieprawda! Cóż stąd, że Antosia powiesili? No, to dawniej tak było, a teraz już tego niema; teraz na fujarce grają tak ślicznie, że aż wszystkie rybki w Czere moszu skaczą i weselą się. A jeżeli Pan Bóg komu da rozum, to jeszcze lepiej — on sobie prosto pójdzie do rzeki i utopi się, i potem tańczy z rybkami. I ja tam pójdę. — Wy nie wiecie, co się stało? On jak się z nią żegnał, zdjął jej z palca obrączkę, i mówił, że rzuci w wodę. Ja tę obrączkę znajdę, ona mi się przyda na moje wesele, (*smutno*) bo ja nie mam obrączki — patrzcie — a ta obrączka była śliczna; drugiej takiej, póki żyć będę, nie znajdę.

Maksym. Boże! odpuść mi ten grzech, może ostatni. (*Bierze ją za rękę*) Dziewczyno! chodź tu, tu ze mną.

(*Prowadzi do brzegu*)

Prakseda. Tam? czy tam obrączka? — Otóż to kiedy człowiek dobry się znajdzie! — niema, jak górale. Tam daleko ludzie nie tacy. Oni go złapali i zaraz powiesili. Czyż oni nie wiedzieli o tem, że nim wiatr kołysać będzie i wydzierać jego piękne kędziory, że deszcz bić będzie w jego twarz, jak w zimną szybę, a potem kruk przyleci, siądzie na głowie, wplącze swe szpony w jego włosy, nachyli się i dzióbem oczy jego wykaląc zacznie.

Maksym. Chodź! chodź! nieszczęśliwa!

Opryszek. Co ty chcesz robić? — szalony?

Maksym (*dziko*). Idź precz! — chodź! (*Postępuje*)

Prakseda. Chodź prędzej! — i mnie trzeba śpieszyć — mnie tam czekają wszyscy, wszyscy czekają. (*Nachyla się nad brzegiem*) Jak tam głęboko! czy tam?

Maksym (*strąca ją w wodę*). Tam moja dziewczko uciekaj przed ludźmi — dla ciebie niema życia na ziemi.

Opryszek. Maksymie! Maksymie! coś ty zrobił?

Maksym (*chwyla go za gardło*). Idź precz! bo cię za-dławię. (*Odtrąca go*) Ruszaj sobie w świat, gdzie cię oczy poniosą, a ja idę do Niemców. (*Wychodzi*).

(*Opryszek zagląda do rzeki, okazuje gestem, że już po niej, i odchodzi*)

SCENA OSTATNIA

Izba w domu Antosia.

Na środku w głębi sceny leży MARTA na tapczanie; w nogach siedzi stara kuma, w głowach palą się dwie świece. Bliżej na lewo stoi ANTOŚ, oparty o ścianę, i patrzy spokojnie na trupa matki. Przy nim dwóch żołnierzy. Na prawo stoi KOMISARZ i OFICER.

Komisarz (*do oficera*). My, ludzie oświeceńsi, tylko sobie przyznajemy głębokie uczucia, i mocno się mylimy. Jak słoje drzewa zacierają się i nikną pod błyszczącym lakierem, tak i nasze namiętności. Nasza radość, nasz smutek, mieszają się z sobą i zlewają, równie jak cienie ze światłem na dobrem malowidle. Czemże one są w porównaniu z wybuchami radości i rozpaczey tej natury prostej i nieokrzeseanej?

Oficer. Bolesny widok!

Komisarz. Ta nieszczęsna dziewczyna, z obłąkanym wzrokiem, to jego kochanka. Tu jego matka. Jedną wieścią, jednym słowem o jego wzięciu, tamtej odebrali rozum, tej życie. O! nie musiał być złym człowiekiem ten, którego tak kochano.

Oficer. Żal.

Komisarz. Patrz, panie poruczniku, co to za postawa! jaki szlachetny smutek w jego oku! jaka rezygnacja i miłość w jego licu! O, jakbym rad go uratować! Ale niepodobna. Prawo nie zna litości i znać jej nie może.

Oficer. Więc to ów mandatarjusz go zgubił?

Komisarz. Postaram się, że pójdzie do kryminału. On kłamliwem przedstawieniem zwiódł cyrkuł i przyprowadził go do popełnienia niesprawiedliwości. Zbójcą jest taki urzędnik. *(Żołnierz wchodzi i mówi z oficerem)*

Oficer. Stary jakiś opryszek sam się oddał w ręce nasze, i prosi, żeby go wpuścić.

Komisarz. Niech wnijdzie! *(Żołnierz wpuszcza Maksyma, który z obłąkanym wzrokiem idzie prosto do Antosia)*

Maksym. Antosiu!

Antoś. Ha! to ty! — gdzie Prakседа? — nie poznała mię.

Maksym. Wiem.

Antoś. Gdzież ona?

Maksym. Prakседа na dnie Czeremoszu.

Antoś. Sama się rzuciła?

Maksym. Nie.

Antoś. Któż ją tam stracił? — ty?

Maksym. Ja.

Antoś. Dziękuję ci, bracie! *(Postępuje spokojnie naprzód z pokorą)* Panie komisarzu! wszyscy moi są już w miejscu bezpiecznem. Czas i mnie — w drogę.

(Zasłona spada)

TREŚĆ:

	Str.
<i>Wstęp</i> napisał prof. W. Hahn	3
O Hucułach, rozprawa J. Korzeniowskiego	24
Karpaccy Górale	33



INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Główna 5, tel. nr 72
01-200 W. szawa
Tel. 26-68 63, 26-62-81 w. 42

PIERWSZA SERJA

BIBLIOTEKI NARODOWEJ

obejmuje :

- Kochanowskiego TRENY, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
 Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
 Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w opr. *T. Sinki* (Nr. 3)
 Niemcewicza POWRÓT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
 Lenartowicza WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
 Mickiewicza POEZJE, w oprac. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
 Słowackiego ANHELLI, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
 Towiańskiego WYBÓR PISM, w oprac. prof. *St. Pigionia* (Nr. 8)
 Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA, w opracowaniu prof. *Marjana Szykowskiego* (Nr. 9)
 Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
 Mickiewicza DZIADY WILEŃSKIE, w opr. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
 Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
 Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
 Kopernika WYBÓR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
 Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *M. Janika* (Nr. 16)
 Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigionia* (Nr. 17)
 Krasińskiego PRZEDŚWIT, w oprac. prof. *Jul. Kleinera* (Nr. 18)
 Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
 Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III., w opr. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
 Pola PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
 Fredry ŚLUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *E. Kucharskiego* (Nr. 22)
 Czartoryskiej MALWINA, w oprac. *K. Wojciechowski* (Nr. 23)
 Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. *J. Kleinera* (Nr. 24)
 Korzeniowskiego SPEKULANT, oprac. *K. Wojciechowski* (Nr. 25)
 POLSKA PIEŚŃ LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
 Mickiewicza TRYBUNA LUDÓW, w opr. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
 Korzeniowskiego KOLLOKACJA, opr. *K. Wojciechowski* (Nr. 28)
 Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w opr. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
 Zaleskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 30)
 Długosza BITWA GRUNWALDZKA, opr. prof. *J. Dąbrowski* (Nr. 31)
 Fredry ZEMSTA, w opr. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
 Pola PIEŚNI JANUSZA, w oprac. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 33)
 Brodzińskiego WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
 Konarskiego WYBÓR PISM POLITYCZNYCH, w oprac. prof. *Wład. Konopczyńskiego* (Nr. 35)
 Fredry PAN JOWIAŁSKI, w oprac. prof. *E. Kucharskiego* (Nr. 36)
 Ujejskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
 Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)

- Romanowskiego DZIEWCZE Z SĄCZA, oprac. *Dr St. Lam* (Nr. 39)
 Reja WYBÓR PISM, w opr. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
 Krasickiego DOŚWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu
 prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)
 Krasieńskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
 Słowackiego MINDOWE, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
 Goszczyńskiego ZAMEK KANIÓWSKI, opr. prof. *J. Tretiak* (Nr. 44)
 Sowińskiego WYBÓR POEZYJ, w oprac. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
 Malczewskiego MARJA, w opr. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
 Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w oprac. *M. Kridla* (Nr. 47)
 SIELANKA POLSKA XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
 Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *J. Maurera* (Nr. 49)
 Goszczyńskiego KRÓL ZAMCZYSKA, opr. prof. *J. Tretiak* (Nr. 50)
 Słowackiego BALLADYNA, w oprac. prof. *Jul. Kleinera* (Nr. 51)
 Pola MOHORT, w opracow. prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
 Kraszewskiego STARA BAŚŃ, oprac. *K. Wojciechowski* (Nr. 53)
 Syrokomli WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
 Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
 Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU w opr.
 prof. *H. Życzyńskiego* (Nr. 56)
 Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowski* (Nr. 57)
 Kraszewskiego POWRÓT DO GNIAZDA, oprac. *W. Hahn* (Nr. 58)
 Galla-Anonima KRONIKA, w opr. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
 ŚREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA ŚWIECKA w opracowa-
 niu *Dra Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
 Rzewuskiego LISTOPAD, oprac. prof. *K. Wojciechowski* (Nr. 61)
 Paska PAMIĘTNIKI, w opracowaniu prof. *Al. Brücknera* (Nr. 62)
 Korzeniowskiego KARPACCY GÓRALE, opr. prof. *W. Hahn* (Nr. 63)
 Norwida WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. *Stan. Cywińskiego* (Nr. 64)
 Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opracow. prof. *Stanisława Kota*
 Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowa-
 niu prof. *Henryka Życzyńskiego*
 Asnyka WYBÓR POEZYJ, w opracow. prof. *Eug. Kucharskiego*
 Słowackiego MAZEPA, w oprac. prof. *Bronisława Gubrynowicza*
 Mickiewicza WYBÓR LISTÓW, w oprac. *Dra Wacława Borowego*
 Kochanowskiego PIEŚŃI, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki*
 POZYTYWIZM POLSKI, w oprac. prof. *Konst. Wojciechowskiego*
 Woronicza WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. *Ign. Chrzanowskiego*
 Fredry DOŻYWCIE, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego*

DO NABYCIA

W KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ

(KRAKÓW, UL. Św. FILIPA L. 25)

W KSIĘGARNI JAGIELLOŃSKIEJ

(KRAKÓW, UL. WIŚLNA L. 3)

I WSZYSTKICH INNYCH KSIĘGARNIACH

<http://rcin.org.pl>

F

1543